Numer 41. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 13 Października 1929



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przyczyna.

— Dlaczego niechcecie, żeby wasz syn ożenił się z Kaśką? młoda i zdrowa dziewucha.

— Juści dziewka jak dziewka, jeno takiego chudziaka wieprzka za nią dają, że szkoda mi chłopca krzywdować.

Poważny gospodarz.

— Od czegóż was to oko boli?

— A no... od Bartkowej pięści.

— Wstydzilibyście się Wojciechu... taki poważny gospodarz, żeby się wdawał w bójkę i dopuszczał do tego, by mu oko podbijali.

— Prawdę pan mówią... drugi raz nie popuscę, ino sam pierwej Bartkowi oba ślepia wybiję.

W Tatrach.

— Moja panienko. dużo czasu potrzeba, żeby zejść na dół?

— Jak panoczek będą śli spokojnie, to z pół godziny.

— A jak cię pocałuję?

— O! to panoczek migiem zleci.

Pewny siebie.

— Macieju! bylibyśta wójtem?

— Oj! oj. żeby mnie tylko chcieli.

— A potrafilibyśta w kancelarji pisać?

— To ci dopieroj śtuka! mental na syję, pieczęć w garść, cygaro w gębę i siabas.

W lesie.

— Słuchaj, Maciek, już cię trzeci raz łapię na kradzieży.

— Wielmożny panie! żebym ja tak ręce i nogi połamał, jakem chciał kraść, tylo ot tak, samochcąc, zawadziłem siekierą o dębczaka, a on się jak na złość zaraz przewrócił.

Na nic wykręty.

— Jak się nie wstydzicie Janie, tak się upijać — mówi proboszcz do swego parafjana — tyle razy wam mówiłem, że wódka to największy wasz nieprzyjaciel...

— To prawda, ale jegomość mówili także na kazaniu, że nieprzyjaciela należy miłować.

— Miłować tak, ale nie połykać.

Numer 41. Rok XII. Kraków, dnia 13 Października 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Zgoda.

Różne narody mają wrodzone zalety i wady charakteru. Anglik n. p. jest małomówny, dumny z wielkości swej ojczyzny. Francuz odznacza się ruchliwością, Polaków cechuje gorące umiłowanie ziemi ojczystej, wolności, wiary św., a dla obrony tych skarbów, nie żałuje Polak trudu, nie lęka się śmierci nawet. Z wad zaś naszych narodowych do najzgubniejszych trzeba zaliczyć brak wytrwałości, czyli tak zwany nasz słomiany ogień i brak zgody.

A przecież zgoda jest tak ważną, że bez niej nie można pomyśleć o zadowoleniu każdego z nas, o dobrobycie w naszych rodzinach, czy też o potędze państwa. To też Boski Nauczyciel przyrzekł nam ten dar wielki i wskazał drogę do jego osiągnięcia wiodącą, mówiąc: „Pokój zostawuję wam, pokój mój daję wam; nie jako dawa świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze, ni lęka". (XIV. 27.) A drogą zgody, do pokoju jest miłość: „To wam przykazuję, abyście się społecznie miłowali" (Św. Jana XV. 17.).

Przepiękne te słowa uczą nas żyć z sobą. Gdyby ludzkość o tej wielkiej prawdzie pamiętała i według niej żyła, w jednej chwili zbytecznymi stałyby się więzienia, zastępy policji, wojska. Są to jednakże już cele ogólniejsze, dalsze. My zaś natychmiast możemy przykazanie naszego Nauczyciela zastosować przedewszystkiem w naszem, własnem życiu, by w niem panował pokój między głosem sumienia, a naszem postępowaniem. Dalej powinniśmy ten dar Boży, zgodę i miłość wprowadzić do życia naszego rodzinnego, społecznego. A wówczas pozyskamy te łaski, o których wielki Święty mówi: „Dwie łaski, dwa dary Boże największe można zyskać w życiu: wchłonąć w siebie dobroć i słoneczność, odrzucić od siebie cień i zło". (Św. Franc. z Assyżu, Fioretti.)

Każdy człowiek dąży do osiągnięcia zadowolenia, szczęścia. Prawdziwą drogę do szczęścia wiodącą poznaliśmy. Zepsuta natura ludzka wskazuje jednakże często człowiekowi drogę błędną, drogę wzajemnego zatruwania sobie życia za lada drobnostką nawet. Przewodniczkami na tej błędnej drodze są: przesadna duma, zazdrość, samolubstwo i głupota, która każe często słowo może niebacznie lub w chwili rozdrażnienia wypowiedziane długi czas pamiętać, żywić za nie pragnienie zemsty. Te złe przewodniczki głuszą wyrozumiałość, chęć przebaczenia uraz, a błahe często wydarzenia przykre wyolbrzymiają, ciągną swoich niewolników coraz dalej i utrudniają im odwrót.

I tak ci, którzy tak gorąco pragnęli szczęścia, oddalają się od niego, szukają go w kłótniach, błędach, zbrodniach może nawet, tylko nie tam, gdzie znaleźć zadowolenie można, jak pięknie i słusznie mówi nasz poeta:

„Trwonią życia dzień jasny na zabiegi i żale, tylko w piersi swej własnej nie szukają go wcale. W nienawiści i kłótni wydzierają coś sobie, aż zmęczeni i smutni idą przespać się w grobie". (Adam Asnyk.)

Lecz i grobowy sen nie będzie dla tych ludzi przyjemny. Wobec tego, że niezgoda niszczy pokój serca, zgodę w rodzinach, staje się wzajemną męką życia, przyczyną nawet zbrodni i mordów, zgoda zaś, to zadowolenie, przedświt szczęścia, droga do dobrobytu i wzajemnej miłości, nie może więc być wahania w wyborze między niemi. Lecz, aby zgoda stale wśród nas królowała, trzeba na nią zapracować, często ciężko nawet, jużto poskramianiem wybuchów gniewu, jużto unikaniem samolubstwa, umiejętnością wyrozumienia i przebaczania wzajemnego, niezważaniem na różne przykrości i urazy, zwłaszcza drobne. Podjęty trud przyniesie nam zadowolenie wzajemne i napewno nie pożałujemy nigdy wyboru zgody.

Jan Pelczar.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Trębacze dęli w rogi, niewiasty zawodziły żale, wychwalając cnoty zmarłych, a głosy pomieszane płaczu i muzyki rogów odbijały się echem po wierzchołkach drzew boru i niosły w dal wieść, że dwa cienie niezadługo zawitają do świętego gaju przodków.

Dążąc zwolna noga za nogą po nierównym gruncie, dotarli wkońcu na święte zgliszcza. Tu rozstąpił się orszak na dwie strony i opasał kołem całopalne stosy.

Nosze złożono na ziemi od wschodu słońca, a ci, co nieśli ciała, przystąpili przez tarcie drzewa do wydobycia ognia, niewiasty zaś utworzyły koło i trzymając się za ręce, śpiewały obrzędowy taniec:

Moji mili przyjaciele,
Zapalcie mi drzewo śmiele,
Jak wy mnie dziś, ja wam potem;
Wynijdź duchu razem z potem.

Czarodziej pokrzykiwał niezrozumiałe zaklęcia, patykiem znaczył dziwne znaki na ziemi, wkońcu dał znak, by ciała złożono na stosie.

Migiem złożono nosze na szczycie ułożonego drzewa, popodtykano ze spodu pęki łuczywa smolnego i zostawiwszy dalszą czynność czarodziejowi, stanęli w rzędzie zawodzących obrzędowy taniec.

Czarodziej głośno zawołał jakieś zaklęcie, do wydobytego ognia przytknął trzymaną wiązkę brzozowych gałązek, płomień buchnął, a on, nie patrząc w tę stronę, by oddechem nie kalać ognia, podpalił z każdego boku nagotowane łuczywo, głownię cisnął wysoko w górę, a sam uciekł, kryjąc się do boru.

Oczy obecnych pobiegły w powietrze za wyrzuconą głownią, by wysnuć przepowiednie dla rodu.

Jeżeli sypnie obficie iskrami i buchnie płomieniem, dla rodu dobry znak. Powiększy się ludność i dobytek, a od dzikiego nikt nie zginie zwierza.

Jeżeli, świecąc słabo, upadnie na stos, wtedy panowanie następnego władyki będzie trudne i nieszczęścia padną na pole.

Jeżeli zaś zgaśnie i spadnie komuś na głowę, raniąc go, wtedy gorze narodowi.

Stanęli przykuci do miejsca, podnieśli głowy do góry i śledzili z trwogą, co im powie wróżba.

Żarzący się punkcik, kręcąc młynka, leciał wypuszczony silną dłonią. Syknął najpierw paroma iskrami, potem maleńki na kształt języka ukazał się na chwilę płomyk, wreszcie, nim dotarł najwyższego punktu, zadymił czarno i... zgasł.

Przerażeni wtulili głowy w ramiona i czekali, gdzie padnie.

Lekki okrzyk otrzeźwił ich z przerażenia.

Popatrzyli za głosem.

Młode dziewczę, ugodzone pociskiem, zachwiało się i padło na ziemię.

Skoczyli na ratunek.

Lecz ona powstała sama i blada obcierała zakrwawione czoło.

— Biada nam biada! — lamentowano w koło.

Znak to niechybny, że wielkie nieszczęścia spadną na ród! — I przed oczami stanęła im Salwida, której ziemską powłokę jako ofiarę smoka trawił w tej chwili całopalny stos.

Sławoj blady, drżąc na całem ciele, obmywał ranę córze.

Ranna, córka Sławoja imieniem Wilja, młoda prawie wyrosła z lat dziecinnych, piękna z jasnemi do kiści lnu podobnemi włosami, o dużych czarnych jak węgiel oczach i smukłej kibici, stała przerażona, mnąc w ręku z żółtych rozchodników wianek, nie mogąc przemówić słowa.

Rana, okazała się nieznaczną. Po obmyciu wodą krew przestała ciec.

Ręką wyrównała włosy, wianek włożyła z powrotem na głowę i blada tylko zmieszała się ze swemi rówieśniczkami.

Obecni tymczasem zasiedli na głazach do tradycją uświęconej obrządkiem objaty.

Smucić się nie trzeba za zmarłym!... Bo żal obsiada ducha nieboszczyka i cięży mu na wieki w pozagrobowym bycie.

Przy pomocy kobzy, rogu i piszczałek odezwała się też dźwięczna gędźba. Młodzi, ująwszy się za ręce, stanęli do tańca, a starsi, siedząc na głazach, z glinianych kubków pociągali wyborny napitek, nie zapominając strząsnąć z każdego po kropli na ziemię dla „skrzata" i przystojną pogwarką urozmaicając sobie czas, posilali się, jak należało.

Lecz wesołość nie chciała zawitać do serc.

Myślami każdy wracał do wypadku, to też ani się nie kleiła pogwarka, ani też nie szły ochoczo tańce.

Pomału zamilkła gędźba. Młodzi posiadali na ziemię lub pojedynczo snuli się po zaroślach świętego gaju, a starzy zamedytowani popodpierali głowy na ręku i patrząc w ogień, milczeli.

Płomienie ognia lizały pomału smolne szczapy stosu, czepiały się drobniejszych drzazg, to tu, to tam, rozszerzał się ogień coraz bardziej na boki, buchał ku górze, wreszcie pokonawszy wszelkie przeszkody, buchnął najpierw słupem czarnego dymu, a potem olbrzymim językiem jasnego płomienia.

Swąd palącego się ciała połechtał obecnych w nozdrza i przykrą wonią zaległ w okolicy.

Wilja z bolącą głową nie miała ochoty do zabawy.

Nie mogła też patrzeć w płomienie, które trawiły ciało drogiego jej dziada. Więc z innemi dziewczętami poszła w gaj święty i snując się pomiędzy krzewami, wspominała sobie pieszczoty starego władyki.

Rana nie dokuczała jej bardzo, tylko gdzieś w środku głowy czuła jakiś szum i suchy głęboko w oczodołach ból; blasku dnia znosić nie mogła.

Odłączyła się tedy i cieniem drzew skręciła do lasu.

Przyjemny chłodek wionął w cieniu odwiecznych dębów i buków. Poruszane lekkim podmuchem wiatru gałęzie drzew grały dziwną muzyką, która jakoś kojąco oddziaływała na jej skołataną głowę.

Bujne krzaki malin obciążone czerwonemi jagodami, krzaki czernic, borówek nęciły usta, aby pokosztować ich soczystego owocu, lecz Wilja jakoś nie miała ochoty kłuć sobie palców na ostrych kolcach ich łodyg. Rozglądała się tylko i napawała oczy pstrem kwieciem, rojem motyli, co to niby płaty kolorowego śniegu padały na ukwiecone podłoże leśne, to na kupki grzybów co to dyskretnie wystawiwszy nad mchy swe aksamitne główki, jakby patrzały wstydliwie na majestatycznie w niebo sięgające drzewa i jakby ze strachu, bojąc ich ogromu, tuliły się do matki ziemi.

Ukołysana otaczającą ją przyrodą uczuła się na chwilę uspokojoną tak, że przestała myśleć. Oparła się tedy o pień drzewa plecami, a zamknąwszy oczy, cała wsłuchiwała się w muzykę boru.

Jak długo tak stała w tym kojącym ją bezwładzie, nie zdawała sobie sprawy i byłaby może tkwiła w nim godzinami, lecz nagle uczuła, że ktoś ujął jej dłoń.

Otworzyła oczy i oniemiała z przerażenia...

Przed nią stało dwóch ludzi zaszytych w skóry z rogami tura na głowie, a opodal za krzakiem tłum zbrojny.

— To oni!... — I dreszcz strachu i zgrozy wstrząsnął jej ciałem.

W panicznym strachu szarpła się, by uciec. Uciec jak najdalej od potworów...

Lecz nieznajomy drugą ręką ujął ją silnie w pół i zmusił oprzeć się o drzewo. Sam zaś coś zagadał w nieznanym jej języku do towarzysza.

Ten zbliżył się i ręką odsunął napastnika.

— Nie bój się nadobna dziewico! Nic złego nie pozwolę ci uczynić. Powiedz mi tylko, jak ci na imię i czyją jesteś córką?

Wilja popatrzyła na jego pogodne oblicze i, o dziwo, jakaś otucha wstąpiła w jej serce. Lekki rumieniec oblał jej twarz i drżąc cała, jak w febrze, odrzekła:

— Wilją mnie zowią, a ojcem moim Sławoj władyka na Tynie.

— Władyka na Tynie! — powtórzył nieznajomy, jak echo, i lekko ująwszy ją za dłoń, odciągnął od pnia i dodał:

— Idź w spokoju do swojej rodziny!...

Wilja podniosła swe czarne źrenice, popatrzyła przeciągle w jego oczy, a jemu się zdawało, że niemi sięgła gdzieś do duszy.

— Co czynisz Kraku!? — zapytał towarzysz, widząc, że ten uwalnia brankę.

— Tak bogowie chcą! — odrzekł tenże tajemniczo.

Nagle Wilja szarpła się, wyrwała mu dłoń z jego ręki i jakby ją coś kolnęło, pobiegła pędem przed siebie, potykając się o wystające korzenie drzew i drąc odzież na cierniach i krzakach.

Towarzysze spojrzeli zdumieni w jej stronę, a kiedy im zniknęła z oczu, skręcili w bok i weszli w gęstwinę boru.

Wilja biegła co sił starczyło do swoich.

Teraz dopiero poznała swój błąd, że zadaleko odeszła od swoich i tem większy ogarnął ją strach. Wspomniała sobie słyszane wieści na Tynie o krwiożerczym smoku w jaskini, którego ofiarę właśnie trawi stos ofiarny.

Wianek opadł jej z czoła, przez co rozliźniły się jej włosy i rozsypały się na wiatr w nieładzie. Twarz jej pałała gorączką, a ona drżąc całem ciałem, oglądała się za siebie, czy zaś ją nie gonią. Czasem znowu przystawała na chwilę i z zapartym oddechem w piersi wsłuchiwała się w szmery, przyczem myślała, że pewnikiem się rozmyślą i pogonią za nią.

Zmęczona, oblana potem, błędnem okiem śledziła zakamarki zarośli i wypatrywała, czy skąd nie wypadną zaczajeni.

Chora jej wyobraźnia nie mogła pojąć młodego rycerza, który tak przyjaźnie do niej zagadał i wreszcie wracać jej do rodziny kazał.

— To chyba podstęp! — szeptała.

Myśli, jedne straszniejsze od drugich, przelatywały jej przez głowę, czyniąc czem dalej to straszniejszy wypadek.

Przypomniała sobi opowiadanie stryjców o potworze, który rozpruł pierś Salwidzie, a który teraz pewnie wysłał swoją czeladź po nowe ofiary.

Ujrzała się w jaskini wtulona między wapienne głazy, jak odpierała natarcia obrzydliwego z głową żaby, tułowiem tura i ogonem jaszczurki potwora. Widziała straszne ogniem ziejące ślepia i spiczasty długi, jak włócznia zaostrzony na kształt strzały, język, który ze sykiem węża sięgał w jej stronę i szukaj miejsca, gdzieby go utopić w ciele i ssać z niej krew.

Pot kroplisty coraz bardziej występował na jej czoło, oczy przybrały wyraz obłąkany. Z wyciągniętemi rękami przed siebie, kalecząc bose nogi na wystających korzeniach i ostrych cierniach, w podartem na strzępy ubraniu biegła ostatkiem sił, wreszcie potknęła się i upadła na ziemię.

Kiedy po chwili otwarła oczy, zobaczyła pochylone nad sobą znajome twarze.

Więc była pomiędzy swoimi!

Naraz zaczęto zadawać jej pytania:

— Gdzie byłaś?... Co się z tobą działo?...

Usiadła.

Powiodła przerażonem okiem po otoczeniu i szeptała drżącemi wargami ze wstrząsem strachu i obrzydzenia.

— Tam, w borze smok mnie ujął i chciał mię pożreć!...

Strach paniczny obleciał wszystkich. Oglądali się za siebie.

—. Dzięki jakiemuś obcemu uszłam! — szeptała dalej w strachu, oglądając się w koło. A im włosy na głowie powstawały ze zgrozy.

Bladzi z przerażeniem patrzyli na poranione, krwią ociekające jej stopy, na podarte na strzępy odzienie, twarz bladą i błędne oczy.

— Prawda być musi! — myśleli. — Za ciasno mu było w jaskini, więc przeniósł się do lasu, albo też szuka tam nowych ofiar dla siebie.

— Starża! — krzyknął ktoś zawołanie rodowe.

— Starża! — wyrzuciły jakby straszny okrzyk strachu i zgrozy wszystkie prawie męskie i kobiece gardła.

W okropnym popłochu, porwawszy na ręce omdlałą Wilję, urny z popiołami Władyki i Salwidy, zostawiwszy świeżo wykopany grób, gdzie miały spocząć ich szczątki, co sił w nieładzie uciekali do Tynu, by za palisadą szukać ochrony przed strasznym wrogiem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dopadli bram i wtłoczyli się na dziedziniec. Pod lipą na głazach siedziało kilku starców. To głowy rodzin okolicznych osiedli zaczęli się schodzić na opolne wiece.

Bramę zaparto drągami a na wałach rozstawiono czaty.

Lecz oczekiwany wróg nie dawał o sobie znaku.

Niektórzy wprawdzie twierdzili, że widzieli w otaczających zaroślach wypatrujące oczy, że słyszeli trzask łamanych stopami ludzkiemi suchych gałęzi i szelesty liści, lecz wroga nikt nie widział.

Dnie ubiegały jedne za drugiemi w ogólnej trwodze, nie przynosząc nic nowego.

Mężczyźni przestali wychodzić na łowy, kobiety na jagody i grzyby do lasu, tylko jak cienie snuli się po dziedzińcu Tynu, przygnębieni jakiemś złowrogiem przeczuciem.

Kilka osad i siół przysłało swoich starszych na wiece, ale większości jeszcze brakowało.

Jednym udaremniła przybycie kobieta, co przeszła im w poprzek drogę z próżnemi naczyniami, inny znowu, wybierając się, przestąpił próg lewą nogą, więc wychodzić nie należało. Gdzie indziej znowu wróżba wykazała, że przed nowiem księżyca nie należy rozpoczynać obrad i radzili, aby wiece odłożyć na pomyślną porę.

Czas ubiegał, wszyscy czuli, że niebezpieczeństwo się zbliża z dniem każdym, lecz przeciw woli bogów i uświęconym zwyczajom rodowym nikt wystąpić nie chciał.

Jeden tylko Bojan Jaksa, gdy się go pytano, co czynić, odpowiedział:

— Rozesłać wici!

— Bez wiecu nie można! — odpowiadali.

— To rady niema innej i trza będzie kark ugiąć pod jarzmo najeźdcy!... (Ciąg dalszy nastąpi.)

Chryzantemy.

Po nieskończenie długich mglisto słotnych dniach październikowych zajaśniał listopad przecudną jesienną wiosną.

Poświata słońca złotym blaskiem zalała osamotnione pola, które rozdzwoniły jasnością i weselem.

Tysiące delikatnych, pajęczych przędz srebrzyło się i migotało w słońcu.

Spóźnione „Babie lato“ pełnymi garściami rozsiało po polach srebro pajęcze, nie skąpiące słońca i czystej toni błękitu. Oziminy po polach zazieleniły się gęsto, dając złudzenie świeżych i bujnych wiosennych traw.

Pośród tych rozsłonecznionych i zielonych oziminą pól, szła Marysieńka.

Słonko przylgnęło pocałunkami do jej świeżych ust, niecąc iskry w dużych, pełnych cichego smutku, niebieskich oczach. Jasny warkocz, spadający na wysmukłą postać dziewczęcia, przebłyskiwał w słonku iskrami złota. Mrużyła powieki od blasku, a na usta wybiegał raz w raz uśmiech rozradowania.

— Jak jasno... jak ślicznie — zaszeptała jakgdyby uchwycić chciała garść słonecznych promieni.

Szła uśmiechnięta w duszy, w oczach, pełna uroku, oglądając się na swój biały domek rodzinny, to na błękit, to na pola, gdzie małymi ścieżynkami spieszyły do kościoła wiejskie kobiety odziane w barwne chusty.

W oczach dziewczęcia znać było umiłowanie tych pól cichych, otaczających ją w koło, a musiała kochać je bardzo, bo tchnęło od niej coś, co przypominało leśny kwiat, wykołysany szumem drzew a usypiany chłodem wieczornych ros.

Skończyły się pola. Szeroka droga prowadziła ku wązkim, brudnym uliczkom małego miasteczka, nad którem królowały gotyckie mury parafjalnego kościoła.

Tam też zmierzała. W kościele nie była dawno.

Złożona ciężką niemocą długie i smutne tygodnie spędzała w łóżku. Jednak młody i silny organizm zwyciężył bladą śmierć, czającą się po kątach jej izdebki i oto dzisiaj, po raz pierwszy, zdrowa już, wyszła, zwabiona blaskiem słońca i niemal wiosennym dniem.

Z opuszczoną główką pospieszyła ku swemu cichemu, lubionemu kącikowi przed boczny ołtarz, skąd spoglądały na nią przedziwnie smutne oczy Częstochowskiej Panienki.

Uklękła na kamiennym stopniu ołtarza, kryjąc twarz w dłonie.

Ten i ów spojrzał na nią ciekawie.

Ciekawą była dla ludzi swem nieszczęściem, które, niby grom, w jednej chwili zmieniło jej najświętsze, kryształowe marzenia na szary popiół.

Po kościele rozsnuła się cisza. W ciszy tej drżały od czasu do czasu półgłośne dźwięki dzwonka.

Marysieńka klęczała bez ruchu.

Msza się skończyła, ludzie poczęli wychodzić. Ktoś, przechodząc obok niej, potrącił ją silnie.

Zbudziła się z modlitwy bez słów, w jakiej była pogrążona i uniosła głowę.

Wzrok jej padł na kwietne przybranie ołtarza, który półwiankiem objęły ostatnie jesienne kwiaty, białe chryzantemy, czyste swe, białe płatki chyląc nizko, jakby w pokłonie przed Bożą Rodzicielką.

— Chryzantemy... Chryzantemy — zaszeptała nagle, oddychając szybko.

— Boże... Boże... tak jak wtedy...

Zatrzepotało się biedne, cierpiące serduszko.

Myśl lotem ptaka pomknęła w przeszłość ku przeminionej chwili szczęścia.

Oczyma duszy widzi obok siebie swego ukochanego nad wszystko Leszka.

Idą razem. Wczesny śnieg niepokalaną bielą objął pola. Przed ich oczyma roztoczyła się wspaniała szata zimy.

A oni... Trzymając się za ręce, jak dzieci, z uciechą brną po śnieżnej bieli.

Zdala, w kościelnej wieży, zadźwięczały dzwony, a echo głos ich niosło daleko, w czystem, mroźnem powietrzu.

Idą do kościoła.

Dusza Marysieńki wezbrana szczęściem. Patrzy na swego Leszka i spotkała się z odwzajemnionem gorącem spojrzeniem.

— Leszku... nasz ślub wkrótce... wkrótce... wkrótce...

Zdaje się jej, że przypadnie do tych pól białych, obejmie je ramionami i całować a tulić do piersi będzie z ogromnej szczęśliwości.

W kościele uklękli razem, tu, przed Tą Świętą Niepokalaną, i, tak jak dzisiaj, na ołtarzu wiankiem lśniły białe chryzantemy.

— Popatrz Leszku — szepcze cichutko — na polu zima, a tu kwiaty... kwiaty...

Leszek patrzy, a potem pochyla swą kształtną głowę o bujnej, ciemnej czuprynie.

Spoglądała Marysieńka na głowę Leszkową, ukochaną nad wszystko, wznosi wzrok w górę i szepcze:

— Matko!

A jednak...

Przed oczyma nasuwa się cicha mogiła, nad którą krzyż rozpostarł ramiona i szumi sąsiednia brzoza.

Westchnęła. Załzawione, pełne bolu oczy utkwiła w twarzy Bożej Rodzicielki, pełnej świętej zadumy i przedziwnego smutku.

I Marysieńka naraz uczuwa, jak marnym jest ten jej jeden krzyżyk...

Składa dłonie, a z ust jej wyrywa się szept:

— Niczem jest mój ból, o Matko! Ty cierpiałaś i cierpisz za miljony nieprawości ludzkich...

Pełne ukojenia i dobroci spływa z góry spojrzenie na wzniesioną główkę dziewczęcia.

Zda się, promienie świetlane spływają w stroskaną duszę dziewczęcia, ukojenie przedziwne rozprasza gorycze łzy i smutki...

Czuje, jak ten ból, który nieprzerwanie przez rok cały towarzyszył jej stale, rozwiewa się gdzieś teraz, a duszę obejmuje kojące uczucie ciszy i spokoju.

O! Jakżeż szczęśliwi ci, którzy modlić się potrafią!

Z czołem opartem na kamiennym schodzie, wsłuchując się w słowa, które za Bożą przyczyną szeptał jej uleczony duch, zrozumiała, że przez życie iść jej trzeba, nie z założonemi rękoma i łzą w oku, ale z chartem woli i płomieniem czynu. *Orlica.*

BŁOGOSŁAWIONY JAN Z DUKLI.



Któż nie przypomina sobie z historji owych lat panowania Jana Kazimierza, kiedy Kozacy potopem rzucili się na naszą Ojczyznę, aby ją zalać i zagarnąć z niej jak najwięcej. Doszli aż pod Lwów i myśleli,

że go zdobędą. Aliści, kiedy Chmielnicki wraz z Tuhajbejem stali już przed bramami miasta, ukazał się w obłokach błogosławiony Jan z Dukli i zagrożone miasto od zagłady ocalił. Kozacy, wystraszeni, kiedy nadeszła odsiecz dzielnym obrońcom, umknęli w popłochu i miasto więc w ich ręce za wstawiennictwem bł. Jana z Dukli nie wpadło. Obrazek nasz przedstawia u góry bł. Jana z Dukli, poniżej Chmielnickiego i Tuhajbeja.

Błog. Jan urodził się w Dukli, a ukończywszy szkoły w Krakowie, powrócił do domu, udał się w góry karpackie i tam w jaskini przeżył kilka lat na postach i modlitwie. Potem przybył do Lwowa, wstąpił do zakonu Bernardynów, był gwardjanem w Krośnie, kustoszem we Lwowie, wreszcie za zezwoleniem przełożonych przeniósł się do klasztoru Bernardynów, gdzie odznaczał się wielką pobożnością, ścisłem przestrzeganiem reguły klasztornej i kazaniami, zapomocą których wielu heretyków nawrócił. Przed śmiercią utracił wzrok. Ciało jego spoczywa w kościele OO. Bernardynów we Lwowie.



Rozmaite śmiglance narodowe, co to nic inksego nie mają do roboty, ino bez cały dzień chcieliby zaglądać dzieuchom w ślipia i gdzieindziej, powiadają, ze najprzyjemniejsa z porów roku to wiesna. A mnie się widzi, ze to nieprawda, bo i cóz na zwiesne bidna chudzina na świecie zobacy? Trochę kwiatków, trochę się tam ptaki podrą na polu i w lesie i więcy nic! Co inksego jesień! Jesień to nieraz taka przyjemna, ze jaze brzuch boli.

Jak przyjdzie jesień, to zołondek ani na chwilę nie spocnie; cięgiem musi trawić i trawić, jaze hucy po brzuchu, jak nie przymirzając w gorzelni! To jabcywie różne, to gruski ulęgołki, to śliwki rozmaitego gatunku: damasceny, luboski, węgierki, to korpiele, to piecone zimniaki! I zeby nie robota, toby gęba cały dzień nie spocęła, inoby chodziła i chodziła, jak ta stara kobyła w kieracie.

Ale przy tem dniu to jedzenie nie idzie do składu, bo od casu do casu trza przestać i choć od oka kole roboty się zawinąć. Za to w niedzielę, mój ty mocny Boże! Jak się człek rozmacha o świtaniu, to ledwie przed nocą zaprzestanie. Ale ze to i najlepsa rzec moze się wkońcu uprzykrzyć, latego ja se tez co niedzielę inkse inksości wysukuję, aby Pana Boga nie obrazić, a grzysne cielsko uciesyć.

Powiadają, ze ciało ludzkie jest nieprzyjacielem człowieka, i ja się tez temu nie sprzeciwiam, ale ze Poniezus kazał miłować nieprzyjacioły swoje, więc się tez tego trzymam i staram się, aby tego nieprzyjaciela mojego, jakiem jest brzusysko u kuzdego człowieka, jako tako uciesyć.

Pamiętając o tem przykazaniu, posedem se w tamtą niedzielę z drugiemi chłopakami zimiaki piec. Straśnie lubię piecone zimioki, byle ich jeno duzo było! Wsadziłem ich do ognia z miarkę i jak juz były piecyste, skrobię patykiem, a jem i jem, jaze mi się usy trzęsą. A kiedym ino moze z pół miarki zjadł, tom więcej juz ni mógł, bo mi serdecnie brzuch rozparły. Myślę se: źle! zasucho nieborakom, trza je napoić! Lęgnołem se więc nad wodą i pocąłem pić i pić tak, ze potem ledwiem przysed do chałpy.

Kiedym zased do domu, był juz wiecór. Gospodyni wysuli na miskę wiecerzę i przedemną postawili.

— Weźcie se gosposiu wiecerzę — godom — bo ni mam nijakiego smaku do jadła!

Gospodyni wywalili ślipia na mnie, co się mi stało, ze jeść nie chcę, bo przecie rzadko kiedy taka rzec się im trafia, a ja powiadam:

— Zawseście mi wymawiali, zebym tyle nie jadł, więc tez dzisiok bez zadnej wiecerze pójdę spać...

— Bój się Boga, Maciuś! — padają mi gospodyni — a przecieze nie zwazaj, jak się tam człowiekowi cosi skądsi wymsknie, dyć to ludzka rzec! A moześ ty chory, ze jeść nie kces? A tu jutro tela roboty i jakze z tobą będzie? Jedze, Maciuś, jedz, bo jutro trza świtaniem wstać, a jakoze będzies robił, jak se dziś brzucha nie napchas? Przecie uwaz, ze ja choć ta casem gadam na ciebie,ześ obzartuch, to robię to ino ze śpasu, bo przecie wiem, ze kuzdy zyjący musi mieć to wszyćko, cego mu do zycia potrzeba.

— Weźcie se wiecerzę, powiadam wam, pókim dobry i widźcie se, ze ja juz dzis bez jedzenia pójde spać.

Ale gospodyni patrzą i patrzą na mnie lepiej, a kiedy się zmiarkowali, padają:

— A ty kanyś se tak gębę zasmolił? Acha! juz wiem! Toś ty se ją tak pieconemi zimiakami zasmolił! Zjadeś ich z pół korca i kanybyś teraz jad?

Jucha ta gospodyni! Ona w kuzdą dziurkę człowiekowi zaglądnie i nijak jej nie osukas. Powiadam ja tedy:

— A i cózem se miał zasmolić, przecie jagem jad, tom gębą jad, a nie cem inksem.

Obróciłem się do gospodyni tamtą stroną ciała, o której się otwarcie przy porządnych ludziach nie gada i posedłem o głodzie spać. A jesce i we śnie śniły mi się to jabka, to gruski, to śliwki, to piecone zimniaki, a kiedym się nazajutrz obudził, tom i wtencas nie stracił przekonania, ze la statecnego człowieka to ze wszyćkich porów roku najprzyjemniejsą jest jesień. Rozmaici śmiglance niech se tam chwalą ptaski, kwiatki i przyjemności wiosenne, ja zasie powiadam, ze najlepiejby było, zeby cały rok była jesień, toby choć człek głodu nie zaznał.

Wszyćko miłe na świecie, ale brzuch, to grunt!



„Bójcie się Boga".

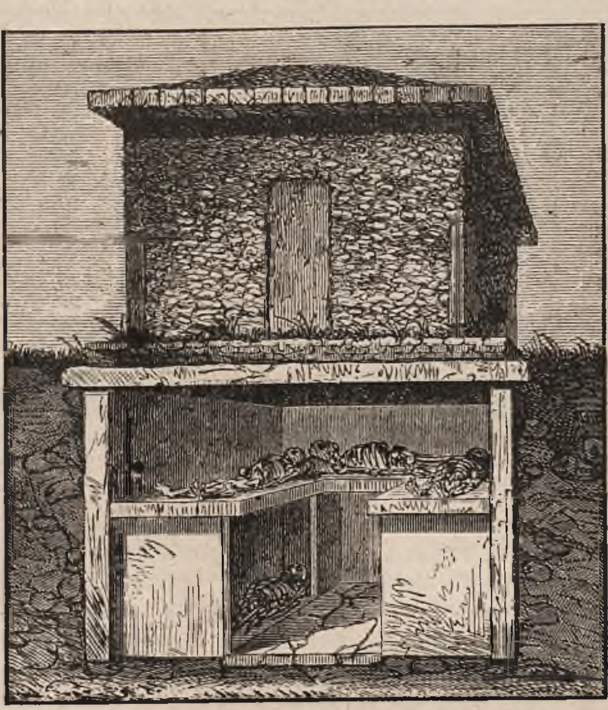
Niedawno przecie drzewa pękały...
Niedawna zima sroga —
Dzisiaj już wiatry liście zerwały!
Bójcie się Boga.
Niedawnom z Bartkiem żniwa skończyła
Dopiero liczba mnoga
Kopic ze sianem po łąkach była...
Bójcie się Boga.
A dziś już jesień, wicher ugania
Smutniejsza przez wieś droga,
Dym się od lasów błękitny słania...
Bójcie się Boga.
I jak te liście więdną nadzieje
A życia krótsza droga...
Codzień się więcej człowiek starzeje...
Bójcie się Boga.

Wincenty Kuglin.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Madagaskar III.

Z tego, cośmy powiedzieli w poprzednich numerach „Roli", mógłby ktoś wnioskować, że Madagaskar zamieszkuje jedno plemię. Tak jednak nie jest. Są tam różne plemiona i te różnią się pod wielu względami od siebie. Weźmy np. takie cmentarze. Poprzednio powiedzieliśmy, że mieszkańcy Madagaskaru boją się swych zmarłych, wskutek czego cmentarze znajdują się daleko od ich domostw. Czynią to jednak tylko Sakalawi i Becymicarowie. Natomiast inny szczep, a mianowicie Howasowie, nie lękają się umarłych, więc grobowce u nich znajdują się bardzo blisko ich mieszkań i zawierają zwłoki licznych członków rodziny. Zamożni umieszczają je pośrodku swych zagród i chlubią się nimi.



Wspólne grobowce u Howasów.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy taki grobowiec. Jest to, jakby jakaś piętrowa szopa, na parterze otwarta, a w niej, jakby na półkach, leżą szkielety członków jednej rodziny. Są to szczątki już dawno pomarłych, z których nie pozostały jeno kości. Na pierwszem piętrze, zupełnie zamkniętem, leżą ciała, które nie uległy jeszcze zupełnemu rozkładowi. Dzieje się to dlatego, aby wydobywający się fetor z rozkładających się ciał nie zanieczyszczał powietrza.

A jeszcze w odmienny sposób chowają Becyelosi swoich umarłych. Oto na cmentarz wybierają pagórek, bez względu, czy on blisko, czy dalej od osiedli się znajduje. Pagórek ten musi posiadać jednak stromą ścianę. Otóż Becyleosi w ścianie tej na różnych wysokościach tworzą wygłębienia takie, aby tam można było wsunąć zwłoki nieboszczyka. Wsuwają je tam bez żadnej trumny, a jedynie płótnem okryte. Do otworów tych można się dostać tylko zapomocą drabiny.

Pozostawmy jednak zmarłych w spokoju, a powróćmy do żywych. Jak to już wyżej powiedzieliśmy, Madagaskar zamieszkują różne szczepy, które różnią się od siebie zwyczajami i obyczajami, a niejednokrotnie i strojem. Np. Becyelosi używają odzieży z płótna, wyrobionego z kory drzewnej i nici bananowych. Właściciel tej odzieży nigdy jej nie pierze, ale tylko niekiedy zapuszcza ją oliwą dla nadania jej giętkości. Wyrabiają oni także płótno wytworniejsze, bawełniane, albo nawet i jedwab, ale tego nigdy nie używają sami, gdyż wolą je sprzedać. Natomiast Howasi stroją się już więcej po europejsku, a niejednokrotnie całkiem po europejsku, gdyż stykają się z Europejczykami.

Becileos ma zawsze włosy starannie utrefione. W czasie żałoby mężczyźni równie jak niewiasty golą głowy, ale troskliwie przechowują swoje kędziory i kiedy tylko żałoba się skończy, łączą je tak zręcznie z nowemi, że się zdaje, jakgdyby głowa nie była nigdy golona.

Ale to znów nie wszędzie. Widzimy bowiem na drugim naszym obrazku niewiastę w żałobie u Malagasów. Oznaką żałoby u Malagasów są rozpuszczone włosy i zaniedbana odzież. Skoro tylko śmierć wydrze jaką ofiarę z grona zamożnej rodziny, zaraz wszyscy jej członkowie, jako też i jej niewolnicy, rozwiązują trefione sploty swoich włosów i gromadzą się w smutnem milczeniu około zmarłego. Przed pogrzebem albo po pogrzebie odwiedzają rodzinę sąsiedzi, krewni i przyjaciele, i każdy z nich składa jej na znak współczucia srebrną monetę, a danina ta zowie się „fao-dranomazo", czyli osuszenie łez. Oczywiście im to „osuszenie łez" jest większe, tem mniejszy jest żal po utracie drogiej osoby. Często się też zdarza, że przez śmierć zubożałego krajowca rodzina jego wykopuje się z nędzy.



Niewiasta w żałobie u Malagasów.

Może się to dziwnem niejednemu wydawać, że napół dzicy mieszkańcy Madagaskaru nawet na śmierci członków swej rodziny starają się zarobić. Ale należy bezstronnie zapytać, czyż u nas jest ina-

czej? Wszak i u nas, wprawdzie nie wskutek śmierci czyjejś, ale przy innych uroczystościach rodzinnych ludzie również starają się zarobić. Dzieje się to nietylko u ludu wiejskiego, ale i u tak zwanej inteligencji. Wszak i u nas przeważnie proszą na chrzestnych rodziców tych, którzy na tak zwane krzyżmo dają większe podarunki. A kiedy spraszają na wesela, to każdy z zaproszonych niesie jakiś podarunek ślubny: na wsi garnuszek masła, lub jakieś inne prowianty, u ludzi zamożniejszych przedmioty z srebra lub złota, bieliznę stołową lub nakrycia, a niejednokrotnie materje na sukienki dla panny młodej, w których ona nieraz potem chodzi przez kilka lat. Za podarunki te pokryje koszt uczty weselnej i jeszcze dość dużo jej w zysku pozostaje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

I chociaż głodny i bezsilny, czuł po takiej modlitwie w sercu ukojenie i nadzieję, że Chrystus go nie opuści. Nabożeństwa nie było jeszcze, więc wybiegł na lesiste wzgórza, i spoglądał to w jasne niebo, to ku płowej w dole Wiśle. Stanął, ku rzece zwrócony. Jakaś siła ciągnęła go w dół. Zbiegł z pagórka i usiadł na brzegu, miłem przejęty uczuciem. Tak siedząc wychylał głowę aż ponad same fale Wisły, prawą ręką przysłonił sobie oczy od promieni słonecznych, które wprost przed nim rozbłyskiwały się, złocąc w dal drżące zwierciadło, i tak słuchał z zajęciem cichego szmeru rzeki. Nagle zerwał się z brzegu, stanął i zawołał:

— Te fale tak wdzięcznie szumią, jakby jaka czarodziejska muzyka pod niebo grała, o wezmę i ja moje skrzypeczki i zagram Temu słodkiemu Jezusowi w kościele, może miłą Mu będzie ta moja muzyka!

I pobiegł do chaty, przemówił kilka słów do matki, potem ujął szybko swe skrzypeczki i pobiegł znów do kościoła.

Przywitała go zaraz stara Pieczarzyna, co pod kościołem siadała, witali go też ludzie, co się na mszę świętą gromadzili. Ale Pietrek zaledwie im się skłonił, zaraz do kościoła wszedł i przed krzyżem na kolana upadł.

I wnet rozległ się przycichły, żałośny ton skrzypek, od którego wzruszały się ludziom serca i łzy w oczach kręcić się poczęły. I niejeden szepnął:

— Musi ten chłopiec być bardzo nieszczęśliwy, że tak smutnie wygrywa przed Chrystusem!

3. Szczęśliwa para.

Wiedziała o tem skromna dziewczyna, co z poza muru kościelnego, ocierając fartuszkiem łzy rozczulenia, wyglądała na grającego Piotrusia. Ale on jej nie widział, ani wtedy, gdy na skrzypkach wygrywał, ani potem, kiedy podniesiony na duchu i dziwną błogością napełniony z kościoła do chaty powracał. Nie widział, jak dziewczyna wybiegła za nim i posuwała się w oddali poza drzewami i jak za nią pędził burzliwy chłopak z roziskrzonym wzrokiem. Ani nie słyszał już, jak przestraszona Jagienka krzyknęła i do chaty pobiegła, gdy Bartos — bo on to był — pogańskiem słowem za nią zaklął i w las pogonił. Nie widział tego Pietrek, bo już w swej chacie był i uśmiechnięty matkę w rękę całował.

— Matulu moja — wołał żywo — będzie nam lepiej, będzie!

Stara Hanna patrzyła na niego z radością.

— Pan Jezus tak na mnie patrzył w kościele, gdym Mu grał, jakby mi obiecywał, że nas nie opuści!

— A nie mówiłam ci Piotrusiu — rzekła matka z westchnieniem — Pan Jezus jest miłosierny i zginąć nam nie da. Patrz oto na ławę!

— Ha, coś nowego, skórznie?!*)

— Oto naprawka dla pięknej dzieweczki!

Matka patrzyła z uśmiechem, jak Pietrek pochwycił skórznie z ławy i ciekawie je oglądał

— Czyjeż to?

— A zgadnij!

— Matulu, oto skórznie pięknej Jagienki, żadna inna w takich nie chodzi!

I usiadł z zapałem do swego warsztatu, aby czemprędzej zacząć i wykończyć robotę.

Matka uśmiechała się ciągle do syna. Wkrótce zastawiła przed nim misę pełną mleka i światły kołacz.

Nazajutrz zrana z naprawionemi i pięknie oczyszczonemi skórzniami wybiegł Pietrek z izby i podążył spiesznie ku chacie Zaliwów. Serce biło mu z radości, że będzie mógł osobiście doręczyć skórznie swej najmilszej Jagience. Jakoż zaraz wybiegła zarumieniona, skórznie odebrała i przymierzyła, usiadłszy na pagóreczku.

— O Bóg ci zapłać, mój Piotrusiu! — rzekła powstawszy i czule patrząc mu w oczy.

Pietrek pochylony przyglądał się swojej robocie.

— Czy dobrze? — spytał przycichłym głosem.

— O Piotrusiu, ninie jak nowe, a czerwone kieby dla jakiej kniehini!

— Jagienko, tyś milejsza jak kniehini, tylko różowy a lelijowy wianuszek na tę główkę! — wołał Pietrek, patrząc z zachwytem na dziewczynę, która pomieszana, wykręciła się zwinnie i nie żegnając się z nim wcale, poskoczyła do izby po zapłatę. Ale Pietrek zniknął już w lesie, nie chciał bowiem od Jagny brać żadnego wynagrodzenia.

Nie wiedział on, że takowe było już uiszczone, bo Zaliwowie, widząc nędzę w chacie starej Hanny, głównie za sprawą Jagny, posyłali jej chleb, mąkę, mleko, i co tylko sami do pożywienia mieli. Nie wiedzieli oni jeszcze, iż Jagna tak bardzo ubogim Pietrkiem była zajęta.

4. Nad Wisłą.

W ciszy jesiennej spokojnie stoi wiklina, pokrywająca daleko brzegi Wisły, nie gną się młode brzozy i olchy, tylko w długim szeregu pod pagórek w dal się mienią, górą zaledwie pochylając nieco swe cienkie wierzchołki.

Nagle wtrząsnęła się kilkoletnia brzoza i spadła na ziemię. Słychać trzask jakiś i znowu jakby noża cięcie. Pośród drzew wynikła nagle głowa chłopaka. To on ścina śmigłe brzózki na obręcze i układa je na ziemi. Skrobacz krzemienny widać dobrze sobie wyostrzył, bo ta robota prędko mu idzie. Stanął, popatrzył na ścięte przy samej ziemi brzózki i mruknął:

— No do Peruna, będzie dosyć!

*) Tak nazywano obuwie.

I puścił się lasem nad sam brzeg Wisły, pomiędzy smukłe, kilkoletnie pędy wikliny. Stanął nad wodą, spojrzał daleko na te miłe fale, na które od dzieciństwa patrzył i zrósł się z niemi. Bliżej niego pluskały się do słońca jasne rybki, dalej ku wschodowi wznosiły się zwolna mury klasztoru PP. Norbertanek,



Ocierając fartuszkiem łzy, wyglądała na grającego Piotrusia.

jakgdyby z Wisły wyrastały; na zachód biegł mu wzrok za srebrną wijącą się wstęgą rzeki aż do wspaniałego Tyńca, z klasztorem uczonych OO. Benedyktynów *).

Nagle rozległ się w pobliżu łomot jakiś z pluskiem wody pomięszany. Chłopak postąpił cicho brzegiem, głowę naprzód wyprężył i kijem nagle się zamierzył.

— A żeby cię Marzanna! — zaklął półgłosem.

Niedaleko pod brzegiem szarpnęła się czyhająca wydra, skoczyła, nagle pochwyciła rybę i zniknęła. Chłopak chciał biedz, lecz się wstrzymał, patrzył przez chwilę na wzburzoną wodę, potem odwrócił się i na słońce spojrzał. Pochwycił skrobacz, pochylił się i szybko ścinać począł najsmuklejsze pręty łoziny.

Spokojny wiatr od zachodu pod wieczór się ruszył i wiotkie drzewa po wzgórkach zwolna kołysać się poczęły. Chłopak znów podniósł głowę, potarł czoło i w dal popatrzył. Jakiś niewyraźny śpiew z tym wiatrem od Podkrzemienia zwolna płynąć począł.

— Oho, Dziewanna tam z tej białej olchy śpiewa, czy co? — zapytał na wiatr. I znów się pochylił i rąbał dalej. Ale śpiew rozlegał się coraz mocniej z pagórka, drażnił go i przeszkadzał mu.

— Cóż do djabła — krzyknął — znam ten głos, czyby Jagna, ech?!

Cisnął krzemienny nóż i skoczył przez łozinę ku górze. Wtem wiatr pochylił rzadsze drzewa, a pomiędzy niemi ukazała się młoda, jasnowłosa dziewczyna. Schylając się, zbierała do fartuszka jagody i grzyby, a znalazłszy suchy patyk wsuwała go pod pachę. Do Bartosa dochodził już wyraźniej jej miły śpiew:

Tam na czarnym buku,
Zawołała: kuku!
Kukułeczko proś Dziewanny,
Ona dba o wszystkie panny,
Niechaj mi co poradzi,
I chłopca sprowadzi.
Oj!

*) Benedyktynów pierwszym opatem był kanclerz Chrobrego Tuni, od którego klasztor nazwany został Tuńcem, później Tyńcem. Była to pierwsza w Polsce wielka szkoła, założona przez Chrobrego. Przedtem wznosił się tu silny książęcy gród nadgraniczny od Śląska, z komorą pobierającą cło na Wiśle.

5. Burzliwy chłopak.

— A... to ty? — zawołał chłopak, stając nagle. Dziewczyna podniosła się przed nim i spojrzała mu prosto w oczy.

— Bywaj, Bartos, bywaj, przecie choć raz sam do mnie przyszedłeś, o! — mówiła poważnie i spokojnie. I ujęła go za rękę. Bartos się skrzywił, chciał odejść, chciał coś rzec, ale się zaciął. Spoglądał po błyskających w dal na Podkrzemieniu kamykach.

— Będziesz jagody? — spytała dziewczyna.

— Zofka, ja nie chcę, ja ci mówię raz!

— I już się trzęsiesz, jakby cię zimnica biła!

— Jagód nie chcę, idę do roboty, daj mi pokój!

I wyrwał rękę.

— Spieszy ci się?

— A jużci!

Cisza panowała dokoła lekkim gałązek szumem kołysana. Ożywiało ją stłumione granie ech z głębi boru, przerywane dzwonieniem trznadli, stukotem dzięciołów i wołaniem spóźnionej kukułki.

Zofka Drążkówna trzymała Kordasa łagodnem spojrzeniem swych niebieskich oczu, których nie spuszczała z niego. Burzliwy chłopak kręcił się w miejscu, ale jakoś tracił śmiałość.

— Oj Bartos, na kupałę nie przybiegłeś, przez głownie nie skakałeś, nie porwałeś mię, tak mi żal, o!

— Na kupałę... a ksiądz?! — zawołał, odwracając się i patrząc w stronę kościoła.

— O ty się boisz księdza, mój Boże?

Bartos stał jak winowajca, nie wiedział co rzec, chciał uciekać, a nie mógł przed dziewczyną, która przy wszystkich jego wadach kochała go szczerze.

— Bartoszku — szeptała mu do ucha — ja wiem, ty ciągle o Jagnie myślisz, leciałbyś za nią za dziewiątą rzekę i za dziewiąte morze, na mnie nie spojrzysz, tak?

— No więc co? — zawołał, popatrzył w nią, mrugając oczyma.

— A no to, że dla Jagny Pietrek, a ty dla mnie, inaczej nie może być, mówiły boginki...

— Co... Pietrek... do Pieruna?! — zgrzytnął Bartos i podskoczył, jakby go kto mocno ukłuł. I nagle ze złości, w miejscu złamał i skruszył śliczną białą brzózkę. Szarpnął się, rękę wzniósł i wrzasnął:

— Gorze mi, nie wytrzymam, nijak nie wytrzymam!

Potem skoczył i leci, rzucając się w bok, ku Wiśle.

Porwał krzemień i cisnął nim w wodę. Znów stanął i woła:

— Ja skrzypka utrącę, do Wisły wrzucę, niech go Nija porwie, topielice pochłoną, oho!

Zofka z załamanemi rękoma zdala patrzyła na niego.

— Mój Bartoszku! — zawołała czule.

— Cichoj, zadziorę wbiłaś mi pod żebro! — wrzasnął i biegał po brzegu. Zofka ruszyła się z miejsca, westchnęła i zwolna zaczęła chodzić po lesie.

Bartos zdyszany łamał już gwałtownie wiklinę. Ale robota już mu nie szła. Gniew go ogarniał na myśl o pięknej Jagnie i o Pietrku, zazdrość ściskała mu serce, a wdzięczny śpiew, co znów ze wzgórza się rozlegał, rozdrażniać go bardziej począł. Związał szybko łykiem pęk ściętej łoziny, zarzucił go na plecy, skoczył pod górę, biegnąc, pochwytał ścięte brzózki, wetknął je pod pachę i puścił się w bok pagórka do chaty. Ścigała go z falami powietrzna biegnąca pieśń dziewczęcia:

Smutno słonko świeci,
On do innej leci!
O Dziewanno, o bogini,
Niechże twa moc się przyczyni,
By się wrócił z drogi,
Do Zofki niebogiej.
Oj!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SWAT

czyli jak głupia świnia po śmierci za swata służyła.

(Humoreska.)

Tłumiąc śmiech, Wicek otwierał teraz drzwi do kuchni. Lunęło stamtąd na sień światło i tu ujrzeli wszyscy Jadama, leżącego na sieni, jaki długi.

— Mówiłeś, cobym się miał po prawej, a tu właśnie była przeszkoda. Straśniem se nogę potłukł, szczęściem, że flaszka cała. Stękał okrutnie nieszczęsny swat, zbierając kości. Opałka spojrzał groźnie na parobka, ale ten jeno się w kułak ukradkiem pośmiechał, mrugając na Stasię. Z trudem zdołał się Jadam przegramolić przez próg i dokuśtykał do ławy, nie przestając stękać.

— Siądźcie, przejdzie wam — zapraszała Opalina. — Kazałam przecie, żeby wynieś wagę — to się czemś zagapił, a tu nieszczęście gotowe.

— To nic, już nic nie będzie — uspakajał się Basiński. — Naści Stasiu, cosik ci ta twój narzeczony przysyła, bo sam nie miał czasu przyjść, kajśta pojechał — mówił uśmiechając się słodziuśko do dziewczyny i dawał jej papierową torbę, wypchaną karmelkami.

Siedli we troje przy stole, dziecka młodsze już spały, Wicek gdzieś poleciał, potem i Stasia wyszła, a Jadam i Opały gwarzyli o gospodarskich i innych sprawach, o weselu, co za tydzień być miało. Po pewnym czasie Jadam postawił dużą flaszkę wódki na stole i mówi:

— Dajcieno kieliszka, kiej się nie potłukła, to ją trza wypić. Ha no — zdrowie!

I dalejże znowu gwarzyć, radzić, a przepijać często gęsto.

III.

Zaś z małej komory, co miała okienko na sad, szeptanie jakieś było słychać. To Wicek ze Staśką, siedząc na wąskiem Staścynem łóżku, raczyli się karmelkami i śmiali z onej Jadamowej przygody.

— Nie wiedziałam, żeś ty taki — mówiła Stasia, wsuwając chłopakowi pociemku cukierek w usta.

— Masz szczęście, że tego twojego Jantka nie było. Choć ta chłopak zuch i zgrabny, jak cielę, ale jakby rżnął na sień, mógłby se ten przydługi nos rozbić. Dopierobyś płakała...

— Daj pokój, Wicusiu jedyny! Nie mów mi już nic o nim, bo mi się serce ściska, jak se pomyślę, że takiego będę miała chłopa na zawdy.

— A cóż ci to? Bogaty jest, będziesz se jak pani żyła. Jantek, to nie to, co naprzykład ja — oho!

— Cóż zrobisz? Głową muru nie przebijesz. Tatuś się zawzieni, nie — i nie! Idź za Jantka. Wicek, padają, nie dla ciebie, golas, nic nie ma.

— Hm — mówił Wicek — nie przyszedł dziś, bo się boi. Ja mu i tak nie daruję. Ukręcę gdzieś psikrwi łeb, jak cię kocham, nie przepuszczę.

Zamyślili się i milczeli.

— Zresztą, co się będziemy martwić. Daj się Stasiu pocałować. Będzie, co ma być!

IV.

Wicek ze Stasią już dłuższy czas tak siedzieli przytuleni do siebie, szeptając bez przerwy, gdy wtem ktoś zawołał:

— Wicek, chodźno Wicek!

Porwał się chłopak i poszedł.

— A co?

— Naści złotówkę — mówił Basiński — skocz do sklepu, przynieś mi „kresowego". Za resztę to se kupisz papierosów.

— E, kiej ciemno, późno już...

— Idźże, idź, kochanku, tak mi się palić chce. Wypijże se na drogę — podawał mu kieliszek.

— A dy idźże, — dorzucił Opała.

— Czekaj, — myślał se Wicek — już ja cię wyrychtuję. A po drodze może gdzie jabłko dla Stasi urwę.

I poszedł, przywierając jeno drzwi za sobą. Nie zauważył, że tuż za węgłem ktosik stał skulony.

Szybko pobiegł drogą do wsi. Skoro odgłos jego kroków ucichł, wychyliły się dwa cienie i chyłkiem ostrożnie wpełzły do sieni. W izbie Marcin już podpity opowiadał głośno żonie, córce i gościowi jakąś ucieszną historję. I Jadam mu też głośno wtrącał i przerywał, że gwar był na całą wieś. Pomimo tego dało się słyszeć ze sieni lekkie chroboszenie.

— Pewnie Wicek szuka kija, albo kapoty — uspokoił Marcin, ciągnąc dalej swoje opowiadanie.

Pod Basińskim drżały nogi i zimno łaziło po skórze. Jednem uchem słuchał Marcina, a drugiem pilnie nadsłuchiwał, ale się wszystko uciszyło.

— Udało się — myślał z ulgą, a że siedział przy oknie, usłyszał po chwili, jakby na potwierdzenie lekki szelest, coś jakby zdyszane sapanie.

— Niosą pewnie przez pole, do sadu.

Wtem dały się słyszeć za oknem wyraźne kroki. Struchlał Jadam. Co to może być, myśli i domysły najgorsze wiatrem przeleciały mu przez głowę, gdy ktoś zawołał głośno:

— Jadamie, hej Jadamie! Lećcieno duchem do chałupy, bo tam widać boćki klekocą. Duchem wasza kobieta kazali wam przychodzić.

Ochłonął Jadam jako tako, bo już był mało żywy. Drżącą ręką sięgnął po kapelusz.

— Ano, to widać będę was za kumotrów prosił — mówił nieswoim głosem, żegnając się. — Dobranoc!

V.

Szybko powracał ze sklepu Wicek, ale bez tytoniu i... bez pieniędzy. Za tę złotówkę kupił czekolady i śmiał się z Basińskiego. Wykpi go, nagada staremu, co zechce i już!

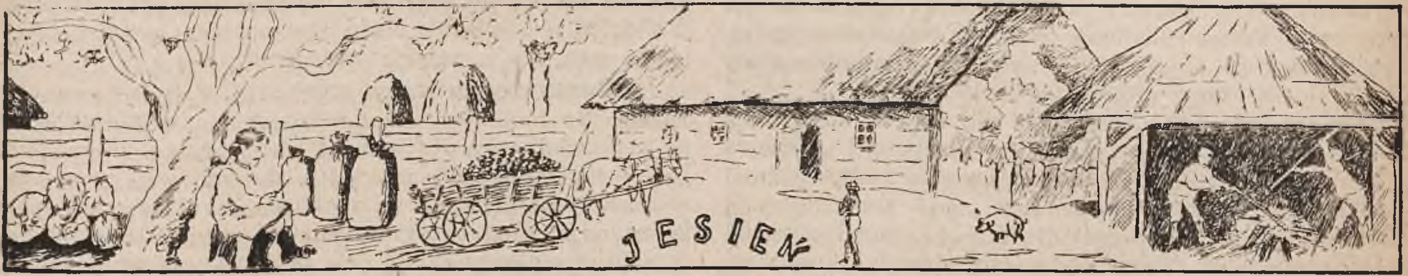
— Wartoby wstąpić do Kulasa urwać jabłek dla Stasi. Są śliczności, czerwieniutkie. Choć ta podobno straszy, ale co mi tam, nie boję się.

Wieczór był chłodny, pochmurny trochę. Wiater lekki szeleściał w pożółkłych usychających liściach, żaliły się gałęzie i konary na swoją dolę... Przez znajomą dziurę w parkanie przedostał się Wicek do sadu i cicho, ostrożnie podszedł do jabłonki pochylonej nad krzakiem malin. Stanąwszy, nadsłuchiwał chwilę, ale oprócz wiatru i dalekiego szczekania nic nie usłyszał. Wdrapał się tedy zręcznie i cicho, a usiadłszy

okrakiem na gałęzi, począł macać po liściach z utajonym oddechem wypatrując, czy gdzie stracha jakiego nie ujrzy, albo kogoś, coby sadu pilnował.

Już schwycił w garść duże jabłko, gdy wtem usłyszał szurganie po opadłych liściach. Przytaił oddech, wpatrując się w ciemności — słuchał. Juści, ktoś szedł. I to prosto na tę jabłoń. Chłopakowi włosy takim dębem stanęły na głowie, jakiego w życiu nie doznał i mrowie poczęło przebiegać po skórze. Kto wie, co to jest?...

(Dokończenie nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Hodowla królików.

Jest dziwną rzeczą, że w czasach, gdy jest wielkie zapotrzebownie na futerka królików i ich mięso, nasi rolnicy hodowlę tych pożytecznych zwierzątek pozostawiają mieszkańcom miast i osiedli fabrycznych. Pod tym względem przykładem może służyć Górny Śląsk, gdzie robotnik tamtejszy nauczył się cenić i hodować króliki i ciągnąć z nich pokaźne zyski. Powinni to zrozumieć nasi rolnicy, a zwłaszcza młodzież wiejska. Przecież nic łatwiejszego, jak założyć króliczarnię, świetnie wykorzystującą nieraz bezwartościowe odpadki gospodarki rolnej.

Należy nietylko urządzić wzorowo hodowlę królików, ale nie zbywać skórek przygodnemu przekupniowi, lecz również prowadzić zorganizowany skup i zająć się garbowaniem u siebie w domu. Królik szybko się rozmnaża i szybko wyrasta, daleko łatwiej więc dojrzeć każdą pomyłkę przy hodowli i daleko prędzej doczekać się zeń korzyści. Należy jednak trzymać się jednej drogi i hodować masowo określone rasy królików, np. szynszyle i niebieskie wiedeńskie, króliki średniej wielkości o dobrem mięsie i świetnem futerku. Najlepiej będzie, jeżeli młodzież każdej wsi zorganizuje sobie hodowlę jednej rasy.

Należy im urządzić odpowiednie miejsce wychowu, utrzymywać wzorową czystość w ich pomieszczeniu i dawać im jaknajwięcej ruchu. Oprócz różnej zieleniny i suchego siana trzeba młodym dawać po trochu ziarna, otrąb i suche skórki od chleba. Natomiast nie dać mokrych liści kapusty, świeżej koniczyny, surowych ziemniaków i obierków z nich, gdyż to prowadzi do wzdęcia i powoduje często śmierć. — Czteromiesięczne króliki trzeba rozdzielić według płci, a więc osobno trzymać samczyki i samiczki. — Wody się nie daje królikom, gdy otrzymują świeżą zieleniznę lub trawę, natomiast można im dawać słodkie nieskwaśniałe mleko na ciężkim kaflu lub spodku, bo lekkie naczynie wywrócą. Zieleniznę trzeba zmieniać dziennie trzy razy, zadając ją za drabinkę, przybitą do ściany. Królików nie brać do rąk i nie dawać ich ludziom obcym, bo łatwo sprowadzić zarazę. Nie chwytać za uszy, ale za skórę na grzbiecie i podkładać drugą rękę. W razie zatwardzenia dawać surową marchew i zieleniznę, kasując czasowo siano i ziarno, wrazie rozwolnienia gałązki wierzby i piołun.

Garbować można samemu skórki królików, podobnie zresztą jak jagniąt i koźląt, w sposób następujący: Po ociągnięciu skóry sporządzić garbnik z soli kuchennej, zmieszanej z ałunem. Zamiast ałunu użyć można angielski kwas siarczany 95—100 procentowy albo śrótę zbożową. Mieszaniną tą należy smarować skórki od wewnątrz i wysuszyć. Następnie zwilżyć je za pomocą mokrych trocin albo mąki i starannie oczyścić z wszelkich żył i cząstek mięsa. W końcu znów suszyć, najlepiej rozpinając skórki oczyszczone na desce, ugniatać je kawałkiem gładkiego żelaza lub bić młotkiem, aby nadać im miękkość i sprężystość. Po ukończeniu tej roboty od wewnątrz, trzeba skórki z zewnętrznej, włosem porosłej strony, wyczesać, wygładzić i rozciągnąć, poczem już można niemi obszywać kołnierze, rękawy, robić czapki, kożuchy i t. p.

Poradnik lekarski.

„Choroby zakaźne u dzieci“. Pod powyższym tytułem wyszła z druku książeczka, napisana przez Dra Aleksandra Polka, jako poradnik dla rodziców. Wiemy dobrze, że wśród naszej dziatwy grasują najróżnorodniejsze choroby zaraźliwe, które rokrocznie porywają setki ofiar, a to tylko dlatego, że przed chorobami temi naszych pociech chronić nie umiemy i w czasie choroby ich pielęgnować. Książeczka ta pouczy wszystkich, którzy mają dzieci, jak zwalczać te choroby, których autor opisuje 25 rodzajów. Za zezwoleniem autora niektóre z tych rad podamy w naszym „Poradniku lekarskim“, kto jednak z nimi w całości prędzej chce się zaznajomić, niech nabędzie sobie ową książeczkę. Dostać ją można w Księgarni Gebetnera w Krakowie (Rynek główny) za 1 zł. 80 groszy. Nadmienić należy, że książeczka ta napisana jest bardzo przystępnie i wydana starannie, a obejmuje 96 stron druku.

Chrypka jest to choroba krtani, najczęstsza kataralna z powodu przeziębienia. Również występuje w chorobach gorączkowych jak: odra, błonica, oraz z powodu kiły, gruźlicy, skrofli, nowotworów.

Leczenie: Przedewszystkiem należy zbadać przyczynę. Po zaziębieniu pić herbatę z bzu, lipy, rozmarynu, mięty, fjołków, szałwji; w chorobach płuc, — z podbiału, kopru krwawnika, ślazu. Gdy odchodzi flegma gęsta, lepka, wówczas sprawia polepszenie żółtko ubite z cukrem, mieszanina soku cytrynowego, miodu i cukru, okłady wysychające na szyję. Należy płókać gardło wywarem kory dębowej i wdychać 3 razy dziennie, parę z wrzącej wody z małym dodatkiem soli.

Ciała obce w nosie. U małych dzieci bardzo często się zdarza, że przez nieuwagę włożą do nosa ziarnka grochu, guziki i t. p. przedmioty.

Leczenie: Pobudzić do kichania, drażniąc piórkiem dziurkę wolną, wstrzykiwać letnią wodę, lub oliwę.

KRONIKA.

Od Wydawnictwa „Roli“. Z każdym dniem są coraz dłuższe wieczory, w czasie których mamy coraz więcej czasu do miłej i godziwej rozrywki, jaką jest czytanie książek i gazet. Z przyjemnością trzeba to stwierdzić, że w Polsce nie brak ludzi, którzy lubią czytać, a wskutek tego kupują sobie książki i prenumerują gazetki. Ale są i tacy, którzy wprawdzie czytać lubią, lecz żal im grosza na kupienie sobie lub zaprenumerowanie książki lub gazety. Pożyczają od sąsiadów i chwilowo są zadowoleni. Ale tylko chwilowo, bo kiedy później chcą sobie odświeżyć w pamięci jakąś rzecz dawniej przeczytaną, to jej już dostać nie mogą, bo albo sąsiad gazetek tych już nie ma, albo ich pożyczyć nie chce. I niejednokrotnie po latach kilku piszą do Redakcji i chcą zapłacić, aby tylko otrzymać rocznik z lat ubiegłych, w którym ową rzecz wyczytali. Oczywiście żadna Redakcja zapasów swoich wydawnictw gromadzić nie może, dlatego też musi odpowiadać odmownie. Wobec tego najlepiej, aby każdy dla siebie zaprenumerował taką gazetkę, jaka się mu podoba. A taką gazetą, która musi podobać się każdemu, jest właśnie „Rola“. Porównajmy ją bowiem z innemi gazetkami ludowemi. Gazety, tak zwane polityczne, zawierają oprócz kilku wiadomości aktualnych niemal same ujadania na swych bliźnich, na rząd, na władze i t. p. Rzeczy to może nawet ciekawe, ale przemijające za tydzień, lub miesiąc, które potem zupełnie tracą na wartości. Natomiast „Rola“ oprócz wiadomości bieżących zawiera setki najrozmaitszych utworów, które nawet po latach kilkudziesięciu nie tracą nic na swej wartości. Będą je czytali synowie i wnukowie Wasi z takiem samem zajęciem, z jakiem Wy je czytacie. „Rola“ jest prawdziwą skarbnicą rzeczy nigdy nie starzejących się. A i cena jej przemawia na jej korzyść. Prosimy tylko porównać: inne gazetki za 10 złotych rocznie dają tygodniowo 8 stron druku czyli rocznie 416 stron na lichym papierze, podczas gdy „Rola“ za 12 zł. daje tygodniowo 20 stron druku czyli rocznie 1.040 stron na dobrym papierze. Piszemy to dlatego, aby każdy z pragnących mieć własną gazetkę na rok przyszły, miał się czas zastanowić, którą z tych gazetek sobie zaprenumerować, kiedy czas na to nadejdzie. I wierzymy mocno, że kto tylko własną korzyść i swej rodziny będzie miał na myśli, z pośród licznych gazetek wybierze niezawodnie „Rolę“ i już teraz będzie odkładał grosze, aby sobie ją już przed Nowym Rokiem zaprenumerować.

Jabłonie kwitną. W ostatnich dniach w ogrodzie Franciszka Kaniaka w Lewandówce koło Lwowa zakwitły jabłonie. Są to szczepy, które tego roku dopiero poraz drugi miały owoce. Kwitnące powtórnie o tej porze jabłonie wywołały w Lewandówce wielkie zainteresowanie

Tajemnicza śmierć żebraczki. Anna Gorczyńska, staruszka, od szeregu lat utrzymywała się z dobroczynności ludzkiej, do której cały dzień apelowała na ulicach miasta, albo też chodząc po domach, odwiedzała mieszkania, gdzie miała swoją stałą i wyrobioną klijentelę. Po całodziennym trudzie wracała zgrzybiała żebraczka do swej nędznej izdebki na Przekopanej pod Przemyślem, przyczem była zmuszona przeprawiać się przez Wiar. W ostatnich czasach Gorczyńska znikła i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Przypuszczano, że wskutek złych interesów w mieście puściła się na dłuższą wędrówkę po wsiach okolicznych. Aż oto onegdaj wyłowiono z Wiaru zwłoki starej kobiety, bardzo ubogo przyodzianej, której identyczności zrazu nie udało się ustalić. Dopiero po niejakim czasie stwierdzono, że jest to właśnie znana żebraczka Gorczyńska, która w niewyjaśniony sposób wpadła do Wiaru i znalazła śmierć w nurtach. Władze dopiero ustalą, czy Gorczyńska padła ofiarą i postradała życie wskutek nieszczęśliwego wypadku, czy też ma się do czynienia ze zbrodnią, gdyż denatka uchodziła w „swoich kołach“ za zamożną łachmaniarkę, która cały swój „majątek“ nosiła ze sobą.

Włamanie do kasy miejskiej. Z Bolechowa donoszą: Do budynku urzędu miejskiego w Bolechowie, po wyważeniu drzwi, włamali się „specjaliści“ kasowi. Próba z główną kasą zawiodła. Szukali więc szczęścia w kasie podręcznej. I tu mieli pecha, bo zamiast spodziewanego wielkiego łupu, znaleźli tylko 164 zł. Kwotę tę zabrali, poczem zbiegli. Na miejscu „pracy“ pozostawili dwa świdry i gwoździe, zapomocą których popełnili włamanie. Policja wdrożyła dochodzenia i jest nadzieja, że niebawem przyaresztuje złoczyńców.

Mimowolny bratobójca. Onegdaj w Mogilnicy w trembowelskim powiecie zdarzył się tragiczny wypadek. Karol Kossowski, liczący 23 lat, manipulował nabitym karabinem rosyjskim tak nieostrożnie, że spowodował strzał, który okazał się śmiertelnym, zabijając siedzącego naprzeciw jego brata Jana Kossowskiego. Sprawca został aresztowany.

Miły narzeczony. Ze Stryja donoszą: Do leciwej wdowy Anny Sahajdak zgłosił się Michał Kobylewski z prośbą o nocleg. Tłumaczył jej, że auto jego w sąsiedniej wiosce miało defekt, a nie znalazłszy odpowiedniego miejsca na odpoczynek po trudach dwudniowych prosi ją o przytułek. Dorodny mężczyzna wpadł jej w oko, przyjęła go z otwartemi rękoma. Nazajutrz opowiedział jej, że ma w projekcie większe kupno lasu i że brak mu 800 zł., przyczem nadmienił, że kobiety takiej, jak ona, już dawno szuka i że chętnieby się z nią ożenił. Naturalnie, że ona nie miała nic przeciw temu i tak transakcja przyszła do skutku. Na poczet posagu wręczyła mu 2.250 zł., przyczem on miał za 8 dni przyjechać i zawieźć ją do swej posiadłości. Od tego czasu minęło już 6 razy po 8 dni, a Michasia jak nie było, tak niema. Z kłopotem swym zwróciła się do policji, która stara się zapoznać z tak czułym narzeczonym.

Nocny napad bandytów. W ubiegłym tygodniu w nocy w Kujdańcach w powiecie kołomyjskim popełniono rabunek, który ze względu na sposób wykonania i tajemniczość wzbudził wielkie zainteresowanie. Oto do domu Marji Dorundiak wpadło nagle w nocy przez sufit ze strychu trzech bandytów, a wszyscy mieli na twarzy czarne maski. Steroryzowawszy gospodynię, zażądali pieniędzy. Gdy ta odrazu wydać nie chciała zagrozili jej śmiercią. Obawiając się tedy, by bandyci pogróżek swych nie wykonali, napadnięta wydała im 75 dolarów; oprócz tego zrabowali około 80 metrów płótna, poczem tak tajemniczo, jak wpadli, tak też tajemniczo zniknęli. Policja energicznie prowadzi dochodzenia celem wykrycia bandytów i niezawodnie ich ujmie, gdyż żadna zbrodnia nie powinna ujść bezkarnie.

Pochłonięta przez ziemię. Na polach Skarbofermu koło szybu Alfreda na Śląsku wydarzył się niezwykły wypadek. Dzierżawca jednej z działek ziemi, zajęty ładowaniem ziemniaków na wóz, spostrzegł, że siedząca opodal żona jego wraz z dwuletniem dzieckiem znikła bez śladu. Rozpoczął więc gorączkowe poszukiwania i ku swemu przerażeniu zobaczył, że miejsce na którem siedziała żona, głęboko się zapadło. Zaalarmowana załoga kopalni wysłała natychmiast kolumnę ratowniczą, której po długich wysiłkach udało się ofiary niezwykłego wypadku wydobyć z pięciometrowej głębi. Dziecko wyszło bez szwanku, natomiast matka uległa

wstrząsowi nerwowemu. Powodem wypadku było zawalenie się starego, nieużywanego ganka w górnej kondygnacji kopalni, co z koleji pociągnęło za sobą zapadnięcie się części pola.

Nauczyciel szantażysta. Nauczyciel religji żydowskiej w szkole powszechnej w Bielsku, 35 letni Adolf Rosenberg, w sposób niezwykle pomysłowy utworzył sobie nadzwyczajne źródło dochodu. Przybrawszy minę nieszczęśliwego neofity, prześladowanego przez byłych współwyznawców, Rosenberg zaczął odwiedzać księży i pastorów na Śląsku Cieszyńskim i wyłudzał od nich zasiłki pieniężne i wsparcia w naturze, następnie zaś nawiedzał bogatych żydów i udawał przed nimi ofiarę średniowiecznych inkwizycyj chrześcijańskich. Zdemaskowano go przypadkowo, gdy w Jaworzu, bezpośrednio po wyłudzeniu pieniędzy od miejscowego proboszcza, udał się do bogatego kupca żydowskiego w tym samym celu. Podejrzliwy proboszcz polecił go obserwować, a gdy stwierdził szantaż, zrobił doniesienie do policji, która pomysłowego naciągacza aresztowała.

Tragiczne skutki jazdy na gapę. Onegdaj na linji kolejowej Radomsk - Częstochowa wydarzył się tragiczny wypadek. Oto 27-letni Franciszek Gawła, mieszkaniec Radomska, jechał do Częstochowy pociągiem bez biletu na tak zwaną „gapę". Zauważył to konduktor. Gawła, bojąc się odpowiedzialności, wyskoczył z pociągu w biegu, jednak tak nieszczęśliwie, że dostał się pod koła, które dosłownie przepołowiły go. Gawła poniósł śmierć na miejscu. Biedak chciał oszczędzić kilkadziesiąt groszy, a przepłacił to życiem, osierocając żonę i dzieci.

W stalowych kleszczach lokomotywy. W czasie przetaczania wagonów w Bydgoszczy 21-letni robotnik Duszyński dostał się w niewytłumaczony dotychczas sposób między osie lokomotywy, które go tak przygniotły, że o wydobyciu nieszczęśliwej ofiary zwyczajną drogą nie mogło być mowy. Sprowadzono więc wagon ratunkowy i przystąpiono do rozebrania maszyny, co trwało 4 godziny, wśród ustawicznych jęków i krzyków Duszyńskiego, przechodzącego w stalowych kleszczach okropne chwile. Duszyńskiego wydobyto ze zdruzgotanemi nogami, tak, że okazała się konieczność natychmiastowej amputacji nóg. Stan nieszczęśliwego robotnika jest bardzo ciężki.

Niezwykły połów rybaków. Z Warszawy donoszą: Onegdaj w południe dokonywała na Wiśle grupa rybaków połowu. Kilkakrotnie zanurzano sieci, wyciągając normalny plon. W pewnej chwili sieć zaczęła iść bardzo ciężko, co wzbudzało w rybakach nadzieję złowienia jakiejś wyjątkowej ryby. Kiedy z trudem wyciągnięto sieć, okazało się, że w zwojach siatki leżało ciało mężczyzny. Denat miał uwiązane łańcuchem na szyji imadło żelazne, czyli „śrubsztag" wagi 7 kg. Przy bliższych oględzinach zauważono na szyji denata zsiniały guz wielkości kurzego jaja. Innych oznak gwałtownej śmierci denata nie wykryto. Policja prowadzi dochodzenia w sprawie ustalenia tożsamości zmarłego.

Plaga pożarów. We wsi Załopki w powiecie krzemienieckim spłonęło 10 gospodarstw z domami mieszkalnemi, budynkami gospodarskiemi i zbiorami tegorocznemi. W majątku Czartorysko pożar zniszczył 8 domów mieszkalnych, 12 stodół ze zbiorami, oraz kilka chlewów. We wsi Komorniki koło Zawiercia pożar zniszczył kilka domów i budynków gospodarskich. W czasie pożaru poniosła śmierć w ogniu Marja Łobusiowa, oraz 2 letnie dziecko. Dwie osoby doznały silnych poparzeń. W ciągu ostatnich kilku dni nawiedziła Pomorze katastrofalna wprost klęska pażarów w ilości 40. Ofiarą ognia padło kilkadziesiąt budynków wraz z inwentarzem żywym i zbiorami. We wsi Koziki w powiecie szczuczyńskim spłonęło 13 gospodarstw. W miasteczku Lutów wybuchł pożar, który rozszerzył się szybko i zniszczył 7 gospodarstw z budynkami mieszkalnemi, gospodarskiemi ze zbiorami i kilka sztuk inwentarza żywego. We wsi Krynickie wybuchł pożar, który zniszczył 70 domów mieszkalnych, 38 stodół ze zbiorami, 150 chlewów, 20 spichlerzy, 17 szop i piwnic, szkołę, budynek straży pożarnej i mleczarnię spółdzielczą z inwentarzem martwym. Szkody wynoszą 2,500.000 zł. W czasie pożaru spłonęła jedna osoba.

Szczury wygryzły dziecku oczy. We wsi Kuligi w powiecie szczuczyńskim szczury wygryzły oczy ośmiomiesięcznej Genowefie Bieleckiej, skutkiem czego dziecko wkrótce zmarło w okropnych męczarniach.

Epidemja pomoru trzody chlewnej. We wsiach Brzeziny i Mroczki, gminy Trzcianne oraz we wsi Zaścianki, gminy Dojlidy, w powiecie białostockim, szerzy się gwałtowna epidemja pomoru trzody chlewnej. Władze wysłały na miejsce komisję sanitarną, która przedsięweźmie środki ochronne, by epidemja nie przeniosła się do innych powiatów.

Rozruchy na Ukrainie. Z Charkowa donoszą: Na tle rekwizycyj zboża przez sowieckie władze aprowizacyjne doszło na Ukrainie sowieckiej do wielkich rozruchów chłopskich. W okolicach Jampola rozgorzała formalna bitwa, podczas której władze sowieckie użyły przeciwko powstańcom artylerji. Osoby, które zbiegły za granicę rumuńską, opowiadają, że w południowych okręgach Ukrainy panuje głód. W Odesie doszło kilkakrotnie do napadów na sowieckie składy aprowizacyjne. Również w Turkiestanie wybuchły na tle kampanji aprowizacyjnej krwawe rozruchy. Ludność Taszkientu dokonała napadu na składy okręgowego urzędu handlu i usiłowała zabić kierownika tego urzędu Gindina. Podczas tłumienia rozruchów 14 demonstrantów zabito.

Ukarana nieostrożność. W Frankfurcie wydarzył się tragiczny wypadek w czasie zwiedzania ogrodu zoologicznego przez wycieczkę uczniów. Jeden z nich zbliżył się nadto do klatki z wielkimi brunatnymi niedźwiedziami. Jeden z nich porwał chłopca za rękę w okolicy ramienia i mimo użycia broni palnej przez dłuższy czas nie można było oderwać niedźwiedzia od dziecka. Chłopiec stracił całą rękę do ramienia. Istnieje słaba nadzieja utrzymania go przy życiu.

Zamordowanie nauczycielki w klasie. W klasie szkoły powszechnej w Auerbach w Niemczech zamordował onegdaj 26 letni nauczyciel Józef Bauer nauczycielkę Marję Vetterl, liczącą również 26 lat. Bauer strzelił do swojej koleżanki kilkakrotnie z rewolweru w głowę, potem skierował broń przeciw sobie i strzałem w skroń zranił się bardzo ciężko. Odwieziono go w beznadziejnym stanie do szpitala. Zastrzelona nauczycielka była jedyną córką nauczyciela Vetterla we wsi Pielenhofen. Kiedy przed rokiem uwolniły się posady nauczycielskie w szkole w Auerbachu, objęli je Józef Bauer i Marja Vetterl. W krytycznym dniu, na krótko przed godziną 10 tą, wywołał Bauer nauczycielkę Vetterle z klasy, gdzie odbywała właśnie naukę. Po krótkiej wymianie słów, prowadzonej przyciszonym głosem, panna Vetterl wpadła z powrotem do klasy i przytrzymała drzwi. Bauer otworzył jednak drzwi przemocą i w obecności dzieci szkolnych, które ogarnęła straszna panika, strzelił kilkakrotnie do nauczycielki, która po kilku minutach zmarła. Bauer strzelił następnie do siebie i zranił się niebezpiecznie. Oddano go do szpitala w Auerbachu, gdzie dokonano na nim natychmiast operacji. Motywy zbrodni nie są dotychczas wyjaśnione.

Jak przypuszczają, Beuer zalecał się do nauczycielki, ale został oddalony.

Płaczący więzień. W więzieniu sądu wiedeńskiego znajduje się oryginalny więzień, który płacze już od siedmiu miesięcy. Jest nim agent handlowy Henryk Schwalb, aresztowany w lutym b. r. za używanie fałszywego paszportu. Od siedmiu miesięcy Schwalb płacze nieustannie, aby nie dopuścić do odbycia głównej rozprawy. Schwalb nie tyle boi się odpowiedzialności za paszport, ile grożącego mu wydania w ręce władz węgierskich, gdzie będzie odpowiadał za różne grube oszustwa, defraudacje, sprzeniewierzenia, fałszerstwa itp. Jeszcze przed pięcioma miesiącami zarządzono rozprawę przeciw Schwalbowi, ale nie mogła się ona odbyć z powodu przeraźliwych płaczów i jęków oskarżonego. Lekarze stwierdzili, ze jest on trochę anormalny, ale obecne jego zachowanie się jest tylko psychozą, jeśli nie symulacją. Dopiero obecnie odbyła się przeciw niemu rozprawa. Na wszystkie pytania sądu odpowiadał Schwalb monotonnie, że jest niewinny i płakał. Ale gdy spostrzegł, że sąd ma wszystkie dowody jego winy w ręku, przestał płakać. Prócz oszustw i różnych innych przestępstw ma również Schwalb ma sumieniu szpiegostwo, które popełniał jako agent pewnej fabryki win. Sąd skazał Schwalba na trzy miesiące więzienia i postanowił wydać go w ręce władz węgierskich.

Głosy zza grobu. Z Jerozolimy donoszą, że w Hebronie i jego okolicy, gdzie tylu żydów zostało wymordowanych podczas ostatnich zamieszek w Palestynie, panuje teraz trwoga wśród Arabów i jakby coś w rodzaju przesądnego żalu. Pochodzi to stąd, że w Hebronie znajdują się koszary wojskowe, noszące nazwę Macpelah, które stoją według podania na miejscu grobów biblijnych patrjarchów Abrahama, Izaaka i Jakóba. Otóż Arabowie opowiadają sobie, że z tamtej strony co nocy słychać głosy wychodzące z pod ziemi, które wołają: „Coście zrobili z mojemi dziećmi?“ Arabowie są przekonani, że to są głosy biblijnych patrjarchów, a wielu z nich przysięga się, że sami takie wołania słyszeli. Głosy te dają się słyszeć tylko nocą. Zrazu słychać tylko szepty i mruczenie, potem głosy nabierają siły i wyrazistości, w miarę jak zapada ciemność. Kobiety arabskie twierdzą, że słyszały głosy kobiece, które wołały z pod ziemi: „Dlaczego przelaliście krew niewinnych?“ Zdaje się, że wszystko jest wymysłem imaginacji ludzkiej, ale bądź co bądź wiara w te głosy może sprowadzić uspokojenie wśród roznamiętnionej ludności arabskiej.

Śmierć w płomieniach. W Detroit w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w piwnicach nocnego lokalu rozrywkowego „Study Club“ wybuchł ogromny pożar, którego ofiarą padło 15 osób zabitych i 50 rannych. Budynek spalił się doszczętnie. Wielka liczba ofiar tłumaczy się tem, że pożar wybuchł w piwnicy i szybko rozszerzył się na piętra, zanim go zauważono. Kiedy przybyła zaalarmowana przez policjanta straż ogniowa, pożar przybrał już wielkie rozmiary i zagrodził wyjście, uniemożliwiając ratunek.

Między gośćmi i służbą wybuchła panika. Ogień pochłaniał swe ofiary wśród rozpaczliwych krzyków. Mieszkańcy pięter skłębili się na wysokich schodach, które były jeszcze wolne. Kiedy dym i tu stawał się coraz gęstszy, poczęli wyskakiwać na ulicę, odnosząc przytem złamanie nóg, rąk i t. p. Przeważna liczba rannych uległa poparzeniu z powodu zapalenia się ubrań.

Żywe pochodnie. Straszny wypadek wydarzył się we francuskiej miejscowości Epernay. Z niewiadomych dotąd przyczyn wybuchł w nocy pożar w mieszkaniu rodziny Fierfort, złożonej z ojca, matki i dwojga dzieci. Sąsiedzi ujrzeli nagle ogień dobywający się z mieszkania rodziny na pierwszem piętrze. Nagle w oknie pojawił się pan Fierfort, płonący jak żywa pochodnia. Skoczył z okna na ziemię, gdzie otulono go w koc i w ten sposób uratowano. Natomiast pani Fierfort i jej dzieci spłonęły żywcem w mieszkaniu. Wydobyto już tylko nagie, zwęglone ich zwłoki. Przyczyna pożaru jest nieznana. Przypuszczają, że w nocy przewróciła się paląca lampa naftowa, krążą jednak inne pogłoski, jakoby pani Fierfort w przystępie szału oblała podłogę naftą i podpaliła ją.

Nowy sposób rwania zębów. Pewien robotnik w miejscowości Astilero w prowincji Santander pozbył się w oryginalny sposób bólu zęba. Ponieważ żaden środek nie pomagał na usunięcie bólu zęba, robotnik przyłożył do zęba rewolwer i wystrzelił. Kula wyrwała ząb, ale równocześnie rozdarła robotnikowi głęboko wargę. Z powodu silnego krwotoku robotnik udał się do lekarza, któremu oświadczył z zadowoleniem, że zdołał pozbyć się łatwo nieznośnego bólu zęba.

Kobieta poślubiła kobietę. Ubiegłych dni sąd karny w Glasgowie, w Anglji, skazał trzydziestokilkuletnią Mary Brown na dwa miesiące aresztu za fałszerstwo dokumentów i wprowadzenie w błąd władzy kościelnej. Mary Brown przedłożyła bowiem w konsystorzu w Glasgowie swoje dokumenty na nazwisko Hughy Brown (występując w ubraniu męskiem) i dała na zapowiedzi. Przez trzy tygodnie z urzędu zapowiedzi ogłaszane były z ambony i w dniu oznaczonym, wczesnym rankiem odbył się w kościele katolickim w Glasgowie ślub rzekomego Hughy Brown z uroczą Baissy Merlowton. Po odbytym ślubie młoda para udała się do wspólnego mieszkania, które zajmowała do tej pory. Gdy maskarada wyszła na jaw, Mary Brown aresztowano. Na rozprawie podsądna broniła się w ten sposób, że przez zawarcie ślubu ze swoją przyjaciółką chciała zabezpieczyć sobie trwałe z nią współżycie. Nigdy zresztą poza tym jednym wypadkiem nie występowała w ubraniu męskiem i przyjaciółka jej wiedziała, kim jest, a także znała powody, dla których użyła ceremonji zaślubin.

Rozwód telegraficzny. Meksykańskie prawo rozwodowe, które jest, zdaje się, najliberalniejsze na całym świecie, doprowadziło nawet do tego, iż można tam otrzymać rozwód za pośrednictwem listu lub telegramu i to w przeciągu 6 tygodni. W ten sposób adwokat europejski może uzyskać rozwód dla swoich klijentów, z których żaden nie był zupełnie w Meksyku. Wystarczającym powodem do rozwodu jest „okrucieństwo moralne“. Jeżeli żona ma ochotę pójść do kina, a mąż zmusza ją, aby mu towarzyszyła do teatru, to jest to



już wypadek moralnego okrucieństwa, Rozwód taki kosztuje 2.000 dolarów, w czem już są pomieszczone koszta listów i telegramu.

RZECZY CIEKAWE.

Liga przeciw cierpieniom miłosnem.

Aby zadośćuczynić palącej potrzebie w Londynie zawiązało się nowe towarzystwo pod nazwą „Liga przeciw cierpieniom miłosnem". To nowe Towarzystwo postawiło sobie za zadanie przeciwdziałać losowi, jeżeli on wypacza drogi życia członków towarzystwa. A więc pierwszym zasadniczym motywem działalności towarzystwa jest wglądać w tych wypadkach, gdy jeden z członków towarzystwa popadł w miłosne ambarasy. Jeżeli np. ktoś nagle stracił narzeczoną czy narzeczonego, przez nagłe zerwanie, to zadaniem Ligi jest kojarzenie dwóch wykolejeńców miłosnych z tej i tamtej strony. Dla porzuconego przez narzeczoną członka Ligi wyszukuje się porzuconą narzeczonę przez narzeczonego, w myśl zasady, że dwa nieszczęścia dają w sumie... małżeństwo. Wzajemne pocieszanie wpływa kojąco na ból po stracie osoby ukochanej i z czasem następuje okres, kiedy zawiedzeni w miłości sami śmieją się ze swych dawnych cierpień, które w rzeczywistości są zawsze urojone, niemniej bardzo dotkliwie odczuwa się je i traci zdolności do walki z losem.

Najważniejszem jednak zadaniem Ligi jest wspieranie swych członków materjalnie. Jak wiadomo bowiem, największy kontyngent zrozpaczonych tworzy się z powodu... braku pieniędzy. Miłość jest cennym przywilejem ludzkości, darem bogów, ale szatan zbyt grubo ją pozłocił. Tam, gdzie tej pozłoty zabraknie, miłość umiera powoli i znika. Liga bierze więc na siebie wszelkie długi zakochanych, pomaga im kupować wszelkie podarunki dla drogich osób, jednem słowem, usuwa z ich drogi prozę życia, pozostawiając same kwiaty i marzenia. Liga wzięła sobie za zadanie zwalczanie niechęci krewnych, którzy sprzeciwiają się połączeniu się młodych, czy starych w związki małżeńskie, z tych czy innych powodów. Ligę tę można nazwać Ligą Narzeczonych. Działalność swoją przerywa ona zupełnie z dniem małżeństwa pupilów.

Dopiero w ostatnich niemal dniach powstała myśl utworzenia przy Lidze oddziału dla spraw małżeńskich. Wielu członków Ligi oponowało przeciwko powstaniu tego oddziału, gdyż ich zdaniem, zbyt wielka ilość spraw małżeńskich odsunie na drugi plan sprawy narzeczonych. Czyli, że niedoszli małżonkowie doskonale zdają sobie sprawę, że małżeństwo jest grobem wszelkiej miłości, lub okresem, w którym miłość kończy się, a rzeczywistość zaczyna przemawiać żelaznym djalektem musu. Do Ligi Narzeczonych zapisało się około 15.000 osób, co dowodzi potrzeby takiej instytucji... nietylko w Anglji.

Mak Kara Mustafy i pieprz J. Sobieskiego.

Opowiadają, że gdy Sobieski stał pod Wiedniem, ze swojem wojskiem, które liczyło około 37.000 ludzi, naprzeciw 700.000 żołnierzy po stronie tureckiej, wtedy wielki wezyr, drwiąc sobie z króla polskiego, posłał mu przez jednego Turka kwartę maku i kazał powiedzieć: „Waszmość, królu Janie III, racz przyjąć i policzyć ziarnka maku, a jak je zrachujesz, przekonasz się i dowiesz, ile nasz pan ma żołnierzy na pokonanie ciebie". Sobieski uśmiechnął się tylko — kwartę maku przyjął i wzamian posłał do Kara Mustafy kwartę pieprzu i kazał tak powiedzieć:

„Wielki Wezyrze! Przeliczyć kwartę maku, toby była wielka robota i dużoby czasu zajęła, korzyści zaś z niej byłoby mało. Ja ci posyłam kwartę pieprzu i proszę, abyś go nie liczył, ale zjadł, co nie będzie zbyt trudno i dużo czasu nie zabierze, a gdy go zjesz, poznasz, jakie moje wojsko".

Po skończonej bitwie pod Wiedniem, mógł Sobieski na poległych Turkach, zdobytych namiotach, chorągwiach i bogatych łupach liczyć plony swojego zwycięstwa. A z płaczem uciekający i wstydem okryty Kara Mustafa, choć kwarty pieprzu nie zjadł, poznał dobrze, co znaczy bić się z wojskiem polskiem pod dowództwem bohaterskiego króla Sobieskiego.

Miłość wśród małp.

Ciekawy dramat rozegrał się w oddziale dla małp w ogrodzie zoologicznym w Londynie. Przed kilku miesiącami ogarnęła młode małpiątka zaraza, która poczyniła wśród nich straszne spustoszenia. Tylko jedno małpiątko wyszło cało dzięki ofiarnym staraniom matki. Jak wiadomo, posiadają małpy silnie rozwinięty zmysł rodzinny i matka, której udało się wyratować małe, stała się wśród małp przedmiotem szczerego podziwu i zabiegów samców.

Podziw samców dla ofiarnej matki obudził czujność małżonka. Odbyła się prawdziwa narada familijna, w następstwie której samiec dobrał sobie przyjaciela domu, który czuwał na zmianę z prawowitym małżonkiem nad bezpieczeństwem samicy. Czujność obydwu zmylił pewien rosły samiec, który zdołał uprowadzić samicę do swego przedziału. Padł jednak ofiarą zemsty swego rywala, który stoczył z nim bój zażarty.

Od tego czasu walki o ową samicę były na porządku dziennym. Małżonek pożądanej samicy stracił w tych walkach jedno oko i złamał nogę. Daremnie starała się służba usunąć z klatki samicę. Wszyscy samcy występowali wówczas solidarnie w jej obronie.

Po pewnym czasie męża samicy tak wyczerpały bezustanne walki z rywalami, że był już u kresu sił. Na to tylko zdał się czekać przyjaciel domu. Pewnej nocy sprowadził samicę do swojej klatki i urządził gniazdo dla obydwojga. Gdy zdradzony mąż się przebudził, początkowo przyglądał się poczynaniu rywala z pozorną obojętnością, wreszcie zareagował na porwanie zupełnie nieprzewidzianie: jednym ruchem wyciągnął niewierną z klatki rywala i dusił ją tak długo, aż padła martwa. Następnie rzucił się na zdrajcę, lecz nie miał już widocznie sił do stoczenia zwycięskiej walki i padł trupem obok swojej samicy.

Zarząd ogrodu zoologicznego odetchnął z ulgą po takim epilogu nowoczesnej wojny trojańskiej o małpią Helenę, ponieważ w długotrwałej walce padło aż jedenastu samców.

Jak zachować się w tańcu.

1. Masz tańczyć spokojnie, wytwornie, naturalnie. Wszelkie gwałtowniejsze ruchy są w towarzystwie niedopuszczalne, szczególnie wstrętne podrzucanie i opuszczanie ramion. Nie szuraj także nogami.

2. Trzymaj się w tańcu prosto, a bez przymusu, nie pochylaj się tułowiem wprzód, nie kurcz nerwowo ramion, ani ich zbyt daleko nie wyciągaj, bo

gdzież skryją się inne pary, przed ciosami twoich łokci.

3. Nie rozstawiaj nóg szeroko, ani nie zwracaj ich zbytnio do wewnątrz.

4. Nie przeszkadzaj sąsiadom wykonywaniem zbyt wielu figur. Tańcz kilka, lecz dobrze.

5. Dobieraj danserki odpowiedniej ci tuszy i wzrostem. Gruby danser tańczący z danserką chudą i wyższą od niego, będzie zawsze śmieszny.

6. Po przetańczeniu odprowadź partnerkę na miejsce, a nie zostawiaj jej na środku sali.

7. Jeżeli jest obawa, czyto z powodu złej posadzki, czy złego tańca innych par, że nastąpi w tańcu zderzenie, nie starać się go uniknąć drogą dzikiego przyciskania danserki.

8. Gdy prosząc do tańca dostaniesz kosza, przyjm go z uśmiechem, a nie rób miny obrażonego.

9. Jeśli zdarzy ci się w tańcu jakiś nieprzewidziany wypadek, w rodzaju oberwania się szelek, nie zwlekaj z podaniem jakiejś przyczyny dla przerwania tańca. Fałszywy wstyd może się srogo zemścić.

10. W tańcu nie pchaj danserki w kąty i miejsca zakryte, nie puszczaj się na zbyt niebezpieczne rozmowy i bądź ostrożny w wyznaniach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Wawrzek Miesiączek w U.: Za przesłane prace dziękujemy; pójdą powoli. Niestety numerów „Roli" z lat przedwojennych nie posiadamy. Numer okazowy pod wskazanym adresem wysłaliśmy. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Wierszyk jak również i szarady zupełnie dobre, więc je chętnie zamieścimy. Resztę życzeń odstąpiliśmy Administracji do załatwienia — **Władysław Mirek** w N.: Nadesłany utwór, jako wyjątek z dłuższej powieści, byłby dobry, gdyż jest nieźle napisany, ale sam dla siebie nie ma żadnego znaczenia. — **Józef Szewczyk** w Ż.: W nadesłanym nam wierszyku myśl jest ładna, ale sam wiersz kuleje. Trzebaby go znacznie wygładzić, a dopiero wówczas byłby dobry. — **Franciszek Leśniak** w F.: Z nadesłanego humoru skorzystamy. — **Jan Żelazowski** w W.: Gdzie nabyć ową książkę nie wiemy. Słyszeliśmy tylko że droga. — **Sikorski** w O.: Wierszyk p. t. „Wiejskie życie" posiada myśl i treść dobrą, ale rymy w wielu miejscach utykają. Nie można np. rymować słów: Nie odpoczął-natłoczył, mrozy-może, fanty-żarty i t. p. A już całkiem nie rozumiemy zdania: „Bo kaganiec całkiem suchie, a tu w izbie bardzo muchie". Szkoda, bo z innych względów wiersz zasługiwałby na wydrukowanie. — **Roman M. Friedrich** w L: Proza dobra i z tej skorzystamy; natomiast z wierszami gorzej. Np. pierwsze trzy zwrotki „Listu do Francji" zupełnie dobre, natomiast w czwartej Pan utknął, aby ostatnie trzy zupełnie zaprzepaścić. Również „Noc w Kolibie" ma ładne zwrotki, ale ma je i bez rymu, a to cały wiersz psuje. — **Józef Roszkowski** w D.: Przykre zdarzenie, opisane w formie długiego wiersza, nie nadaje się do druku.

Zagadki do nagrody.

1. Podwójny logogryf.

(Uł. H Biłka-Głębicki).

☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ■ ☆

1. Rzeka w Rosji — spójnik.
2. Kość — powstaje z mchu.
3. Puste pola — kawał, szmat.
4. Szczep malajski — imię żeńskie.
5. Dawniej, inaczej — imię żeńsk. zdrob.
6. Kino — wyższa, podłożniczka.
7. Waćpan, inaczej — podstawa śpiewu.
8. Drzewo ułożone — kraj w Azji.
9. Rzeka polska — rozdział dramatu, liczb. mn.
10. Rzeka w Hiszpanji — imię tureckie.
11. Miasto w Norwegji — rzeka w Niemc.
12. Syn Jakóba, brat Józefa — rozpadlina.
13. Postać z biblji — próżnia.
14. Ojciec Wandy — bratobójca.
15. Miasto w Holandji — wezwanie.

Każdy wyraz poziomy zawiera dwa wyrazy. Końcowe litery pierwszego wyrazu (w środku), są początkowemi drugiego wyrazu. Drugi i szósty rząd pionowy da rozwiązanie: autora i jego powieść.

2. Szarady.

(Ułożył T. Kwerka z W.).

I.

Pierwsze rządek — to imię będzie,
Drugie — znaczy w pierwszym rzędzie,
Piąte szóste — znają żydzi
I nikt się niemi nie brzydzi,
Gdy są czysto wyrabiane.
Czwarta część pierwszego znane,
Szóste jak wiesz — jest w muzyce.
Osmemi „robią nożyce",
Piąte — piąte zna to dziecię
Każdy codzień — wspak część trzecie,
Ósme wspak — w matematyce,
Całość dostaniesz w trafice.

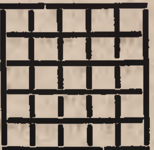
II.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Od drugich i pierwszych jest pan Maciej [Bzdura,
Chwali go gospodarz, że pilny, nie ciura.
Druga pierwsza czwarta w jatce się znajduje
I śmiało rzec można, nie wszystkim smakuje.
Drugie trzecie — znane to czystości wzory,
Drugie czwarte człowiek nie zdrowy lecz [chory,
Wspak drugie i czwarte — domu część [składowa.
Całość młodym szkodzi i odbiera siły,
Chyba nie zaprzeczysz czytelniku miły.

3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Alfons Czader z S. W).



Imię męskie.
Imię żeńskie.
Ptak.
Imię żeńskie.
Miasto w Rosji.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 19 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 39 „Roli": 1. Zadanie konikowe: Mickiewicz, Kasprowicz, Lenartowicz, Ujejski, Wyspiański, Słowacki, Krasicki. 2. Szarady: I. Tomasyna. II. Rekapitulacja. 3. Krzyż magiczny: Apolinary, Kazimierz, Stanisław. 4. Układanki: Donat, parcela, lipa, Apolonja, artysta. 5. Zagadki: I. Sierp. II. Wódka. III. Kajdany.

Rozwiązanie zagadek nadesłał tylko p. Franciszek Niedbała z T., jemu więc bez losowania przypadła nagroda.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Bliźniaki.

— To się cieszysz Wicuś z tego, że masz braciszka w tym samym wieku, co ty i podobnego do ciebie?

— Ale, jest się z czego cieszyć...

— No, dlaczego nie?

— Bo tatuś nigdy się nie może połapać, który co robi i dla pewności za każdym razem rżnie skórę obydwom!



Organista.

— Antek, jak się nazywa ten ptak, co go trzymam w klatce?

— Organista.

— Dlaczego organista?

— A bo dużo źre, a kiepsko śpiewa.

Mówił prawdę.

— A, ty cyganie — krzyczy żona do męża — toś gadał, że idziesz do szwagra, a tyś poszedł do karczmy!

— Gadałem, tom słusznie i sprawiedliwie gadał, bom poszedł do szwagra, ale nie moja wina, że szwagier był właśnie w karczmie.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 4 paździer. b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·18 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·01 do 1·68 zł.
Woły . .	od 1·26 do 1·76 zł.	Cielęta .	od 1·81 do 2·76 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·68 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·63 do 2·85 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·90 do 3.60

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 paździer. b. r.

Pszenica .	39·00—39·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto .	24·00—25·00	Ziemniaki stoł.	6·00—6·50
Owies . .	23·00—24·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	23·00—24·00		
Fasola biała	100·00—110·00	Mąka żytnia	39·50—40·00
Groch zwyk.	42·00—46·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	17·50—18·00
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	17·50—18·00

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na „Rolę“.